



ODGŁOSY

► LODÓWKA NA MILIARDY — Krzysztof Pogorzalec ► ...HEJ, Z TEJ GÓRY, HEJ, Z WIŚNIOWEJ — Jacek Indelak ► 17 DNI WRZEŚNIA — Feliks Bąbel
► PAMIĘTNIK LIRYCZNY MAKSIMA TANKA — Igor Sikirycki ► ZBLIŻYŁA ICH POEZJA — Krystyna Śmiechowicz ► RELACJA — Aleś Adamowicz ►
SPOJRZENIE Z GÓRY — Lucjusz Włodkowski ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► LISTY ► POLEMIKI

BOGDAN
KRAKOWIAN

JAK PRZEKONAĆ sceptyków?

Pewien mój znajomy opowiadał mi, że został kiedyś wywołany z zebrania przez woźnego, który wręczył mu ważny telegram. Znajomy otworzył go i natychmiast włożył do kieszeni.

— Ależ, niech pan to przeczytał — wykrzyknął woźny.
— Już przeczytałem — padła odpowiedź.

Godzi się dodać, że szybkość czytania tego pana dochodziła do 1.000 wyrazów na minutę. Jest to mniej więcej szybkość, jaka potrzebna jest czytelnikowi na przeczytanie pierwszego zdania niniejszej historyjki, a która wystarcza memu znajomemu na przeczytanie całości.

Zwiększanie tempa czytania (mowa oczywiście o czytaniu cichym) budzi sceptycyzm u ludzi nie znających tematu. Zastrzeżenia, które są zazwyczaj wysuwane przeciwko szybszemu czytaniu, dotyczą rozumienia i zapamiętywania informacji zawartych w tekście. Dlatego lepiej będzie, gdy zamiast mówić o zwiększaniu szybkości czytania, będziemy mówić o zwiększaniu jego efektywności.

Aby sceptyków przekonać, że można zwiększyć efektywność czytania (a nie jedynie jego szybkość), trzeba zastosować taki sposób pomiaru tej efektywności, aby móc niezbić wykażać każdy jej przyrost.

Nie wymyślono jak na razie takiej metody pomiaru, która nie miałaby żadnych wad, a między innymi dlatego, że czytanie jest czynnością wysoce aktywną, złożoną z całego zespołu sprawności: precyzyjny pomiar wymagałby mierzenia każdej z nich. Szybkość czytania wyrażana jest zazwyczaj ilością znaków pisarskich lub ilością wyrazów przeczytanych w jednostce czasu. Żaden z tych sposobów nie jest całkiem idealny. Liczenie znaków, szczególnie przy długich tekstach, jest żmudne i dlatego częściej stosuje się liczenie wyrazów. Poza tym na przykład w zdaniu:

„Zdjęcie, które posłużyło do identyfikacji przestępcy, było bardzo niewyraźne”.

Większość czytających nie zauważyła nie potrzebnego „n” w słowie „identyfikacja”.

Z wyrazem jako jednostką służącą do mierzenia szybkości czytania też są kłopoty. W różnych językach zresztą różnie. W języku polskim mamy na przykład zwrot „mimo woli” składający się z dwu wyrazów, a jednocześnie uznajemy, że „mimowolny” to jest jeden wyraz. Mamy także dwa pojęcia jak „po” i „jutro”, ale jeden wyraz „pojutrze”. Poza tym polska ortografia sprawia dodatkowe kłopoty. Dla



ANDRZEJ MAKOWIECKI

RĘKA MOJEJ SIOSTRY

(KORRESPONDENCJA Z PARYŻA)

Clochard... osobnik, którego spotkasz we wszystkich większych miastach Francji. Wiedzie żywot samotniczy, albo łączy się w niewielkie stada; jego domem może być park, cmentarz, brama, ustronny zaułek, zionący ciepłem wylot metra i wiele innych miejsc. Centralnym punktem noclegowym, w którym gromadzą się paryscy clochardzi, jest Dziewiąty Most nad Sekwaną.

W słownikach francusko-polskich „clochard” znaczy tyle, co „włóczęga”, ale jest to tłumaczenie białym. Włóczęga to rajzer, człowiek gościńca, typ śledzienniczy i ponury, który przeklina zazwyczaj swój garbaty los, natomiast clochard — którego wstręt do pracy i miłość do próżniactwa wyrasta na gruncie pewnej filozofii — pędzi swoją nędzną egzystencję z niezmacną pogodą ducha.

ZBIGNIEW
KWAŚNIEWSKI

SPORY O REALIZM

Polska krytyka literacka zaczęła swą działalność po wojnie w warunkach bardzo niekorzystnych. W czasie okupacji zmarło wielu wytrwałych badaczy i krytyków: Karol Irzykowski, Julian Brun-Bronowicz, zginęli: Tadeusz Boy-Żeleński, Ludwik Fryde, Ignacy Fik, Franciszek Siedlecki, Dawid Hopensztadt, czy przykładowo przypomnieć tylko niektóre straty.

W okresie międzywojennym krytyka literacka była w znacznym stopniu inspirowana przez dilttheyizm i formalizm, a zarazem niejednokrotnie programowo rezygnowała z rygorów naukowych. W Polsce Ludowej postawiono jej od razu dodatkowe wymagania pełnej dojrzałości ideologicznej, zgodnej z aktualną sytuacją społeczno-polityczną.

Przyczyną trudnej sytuacji krytyki marksistowskiej, forsującej wyraźne preferencje dla realistycznych kierunków w sztuce, było także to, że w tradycjach narodowych stosunkowo słabo prezentował się nurt estetyki realizmu. Ponadto kształtująca się estetyka marksistowska nie zawsze wspierana była przez praktyków o rzetelnej wiedzy i ugruntowanym światopoglądzie. Rola krytyków polskich była więc trudniejsza od położenia krytyków rosyjskich w analogicznym momencie historycznym, w którym drogę do marksizmu torowały żywe tradycje Bielińskiego, Dobrołubowa i Czernyszewskiego.

W czołówce literackiej, która już w roku 1944 rozpoczęła ofensywę w kierunku przedpola realizmu socjalistycznego, główną siłą, zwłaszcza na początku, była nie krytyka sensu, lecz publicystyka, uprawiana przez pisarzy niejako na marginesie głównego nurtu ich pracy twórczej. Publicystyka ta, jeszcze w sposób bardzo ogólny, wysuwała postulat literatury służącej społeczeństwu i związanej ze współczesnością, uświadamiając sobie takie nakazy, jak potrzeba szybkiej i dogłębnej rekonstrukcji wartości humanizmu, kształtowania sprawiedliwych stosunków społecznych oraz konieczność odbudowy psychicznej i moralnej człowieka.

Pisarze i krytycy literaccy przestrzegali jednak przed zbytnią ingerencją w warsztat artysty i formułowaniem pod adresem sztuki doraźnych postulatów politycznych. W tej sprawie zabierają głos między innymi: J. Putrament, M. Jastrun i A. Ważyk, który jednak wskazuje na potrzebę politycznego zaangażowania się artystów. J. Bocheński podejmuje zagadnienie popularności literatury podkreślając, że nie może to odbywać się kosztem wartości estetycznych: A. Sandauer podtrzymuje to oczywiście stanowisko:

...naprawdę wielkiej i postępowej literatury nie trzeba popularyzować, ponieważ dokonuje się to samo przez się.

Dalszy ciąg na str. 11

Dalszy ciąg na str. 6

Dalszy ciąg na str. 5

REFLEKSJE NA TEMAT WYPADKU

Zdarzyła się niedawno w Warszawie tragiczna katastrofa. Cieżarówka wjechała na furgonetkę, ta z kolei wpadła na grupę ludzi stojących na przystanku masakrując ich — kilku śmiertelnie. W „Życiu Warszawy” ukazał się komentarz na ten temat. Okazuje się, że ciężarówka należąca do bazy transportowej przedsiębiorstwa budowy huty „Warszawa” była w okropnym stanie technicznym. Okazało się także, że parę miesięcy wcześniej kierowca innego samochodu tej samej bazy spowodował wypadek. I już wówczas prokuratura ustaliła, że przyczyną katastrofy był zły stan techniczny wozu. „Zwróćmy się do kierownictwa — pisze „Życie Warszawy” — o sprawdzenie przyczyn tolerowania takich usterek (...). Parę dni temu prokuratura wraz z milicją ponownie skontrolowały jeżdżące po Warszawie ciężarówki tej samej bazy. Na 36 samochodów w dziewięciu znów ujawniono defekty”.

Autor komentarza, D. Piątko, pyta, czym uzasadnić lekceważenie zaleceń prokuratorskich i jak usprawiedliwić tolerowanie takiej sytuacji.

Myszę, że autor komentarza nie trafił całkowicie w sedno, stawiając te retoryczne pytania. Moim zdaniem, w wypadku na Marymoncie ujawniła się pewna nieprawidłowość — niestety dość częsta.

Otóż, jak wiadomo, budowa huty „Warszawa” jest inwestycją o dużym znaczeniu i wszystkie działania podporządkowane są głównemu celowi — ukończeniu budowy w terminie. Gdyby dyrektor zechciał kontrolować rygorystycznie wozy, musiałby częściej wycofać do remontu. Wówczas leży plan i dyrektor dostanie po głowie, albo pójdzie na grzybkę. Wierzy, że liczy na szczęście.

Nie chce ryzykować planu i istnienia — więc ryzykuje życie.

Pamiętam, że kiedyś wydano zarządzenie, aby wszyscy kierownicy budowy dużych bloków mieli tzw. uprawnienia budowlane. Co robi szef nadzoru budowlanego w pewnym dużym mieście? Otóż szef ten mówi: „Gdybym chciał się zastosować do tego — słusznego przecież — zarządzenia, musiałbym zamknąć od dziś p o l o w e budowy w mieście. Czy wyobrażacie sobie, że byłbym na tym stanowisku dłużej niż godzinę po wydaniu tego zarządzenia?”

W swoim czasie „Życie Literackie” opisało sytuację w pewnej bazie transportowej. Dyrektor bazy pod naporem planów i priorytetów ulegał... szantażowi kierowców. Mówili oni: „Albo będzie nam pan wpisywał po parę kursów dziennie więcej, albo tak będziemy wozili, że zawali się plan i paną zdejmą”.

Dyrektor wiedział, że tak się może stać i uległ. Płacił kierowcom coś w rodzaju łapówek (stawki za „lipne” kursy) tyle, że z państwowych pieniędzy.

Tak to, niestety, wygląda, bowiem istnieją racje wielkie i małe. Pewno że koszt budowy, która obsługiwana była opisana w „Życiu Literackim”, urosł o tę sumę wypłaconą nieprawie kierowcom. Ale może straty byłyby większe, gdyby budowę zakończono z opóźnieniem?

Nie wiem. Wiem natomiast, że skutki społeczne zamknięcia połowy budów w dużym mieście też byłyby groźniejsze, niż przyknięcie oczu na zarządzenie — absolutnie słuszone, ale jeszcze nie do zrealizowania. A przecież ryzykował i szef nadzoru i dyrektorzy przedsiębiorstw, na szczęście nie się nie stało, nie zawalił się żaden blok. Ryzyko się opłaciło, a może szef nadzoru miał zaufa-

nie do starych praktyków, którzy tylko papierka nie mieli, a mają pismo — GdY

W tragedii na Marymoncie wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane. Tam zginęli ludzie i wobec spraw tak ostatecznych zupełnie nie wiem czy cynicznie twierdzić, że trochę rozumiem rację kierownictwa bazy czy też — wzorem „Życia Warszawy” — retorycznie wołać o niechlujstwo i braku poczucia odpowiedzialności.

Jeśli napiszę, że życie jest twarde i bezwzględne — będzie to banał. Ale ono naprawdę jest takie i czasem poczucie odpowiedzialności za rzecz wielką może spychać na dalszy plan poczucie odpowiedzialności za luzy w układzie kierowniczym paru ciężarówek.

Kiedyś, w pewnym mieście, zakupiono nowoczesną, znakomitą odśnieżarkę pracującą na zasadzie obracającego się wirnika. Pierwszego dnia w wirnik dostał się kamień, który odrzucony na chodnik uderzył w głowę człowieka, ciężko go raniąc. Odśnieżarkę wycofano, choć taki cholerny traf może się zdarzyć raz na sto lat. Ale przecież, gdy wchodzi w grę ludzkie zdrowie i życie, nie można liczyć na rachunek prawdopodobieństwa, na szczęście.

W bazie transportowej huty „Warszawa” liczone chyba za bardzo na rachunek prawdopodobieństwa i na szczęście. Intencje były na pewno czyste, ale — jak pisał „Życie Warszawy” — nie można dopuszczać do tego, by cena przewoźnika była tak tragiczna. Przy tym wszystkim nie można jednak zapominać o mechanizmach, w jakich obracają się ludzie.

Wszelkich gospodarczych, wytwórczych rezerw dla otrzymania jeszcze w bieżącym roku dodatkowych wyrobów wartości 20 miliardów złotych. Tak — 20 miliardów gwarantujących poprawę stanu zaopatrzenia rynku, wewnętrzne i zwiększenie eksportu, będących równocześnie ekonomiczną, produkcyjną odpowiedzią na podwyższone możliwości nabywcze naszego społeczeństwa.

I jeśli już jesteśmy przy tym temacie, to jeszcze jedna, wcale nie marginalna uwaga, mająca też ścisły związek z owym tematem potrzeby racjonalizacji naszej gospodarki: otóż jeśli potrafimy ulepszyć, unowocześnić, tak — powtórzmy — racjonalizować w sposób zasadny, w oparciu o które funkcjonuje nasza gospodarka, to w samym tylko przemyśle udałoby się zwiększyć moc produkcyjną o 30 procent!

Bagatela — 30 procent. Ależ to niemal jedna trzecia dotychczasowych rozmiarów produkcji. Wierzyć się nie chce. A jednak.

Nie ma więc ani krzty przesady w opiniach tych ludzi, ekonomistów, naukowców i praktyków, którzy utrzymują, że w naszej gospodarce tkwią jeszcze zgola zaskakujące możliwości. Trzeba tylko umiejętnie sięgnąć po te rezerwy zasobów mocy, tkwiące zarówno w umyśle i kwalifikacjach oraz pracujących dłońach ludzi dobrej roboty, jak i w maszynach i urządzeniach. Innymi słowy: trzeba możliwie szybko wyjąć z „lodówki” owe zamrożone miliardy i zużytkować je z pożytkiem dla całego społeczeństwa i pozycji ekonomicznej kraju.

Tak, jeszcze więc raz wracamy do problemu racjonalizacji i funkcjonowania naszej ekonomiki, ale przecież nie tylko chyba o tę dziedzinę naszego życia chodzi. Faktem jest jednak, że w tej dziedzinie mamy i odczuwamy największe zaniechania. Nie jest chyba przypadkiem, że np. jeśli się przeglądnie choćby komunikaty państwowej komisji nagród, to łatwo zauważyć, że pomysły, inicjatywy, opracowania z tej właśnie dziedziny właściwie są... nieobecne.

Wielki też ciężar ratunkowy mają prace nad kompleksem unowocześnienia, właśnie — racjonalizacji — planowania naszej gospodarki. Generalnie rzecz biorąc chodzi o to, by nie szyć schematy i dogmaty królowały w naszej gospodarce, ale o jej rozwój i efekty decydujące elastyczne instrumenty ekonomiczne. Oczywiście, trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że wprowadzenie tych zmian nie jest rzeczą łatwą, że wiele zależy tutaj od sprawności, inicjatywy, po prostu — mądrości działania kierownictwa i załóg zakładów. Dostrzegł to jeden z naszych tygodników satyrycznych i po rozszerzeniu kompetencji dyrektorów wielkich przedsiębiorstw opatrzył humorystyczny rysunek taką „rozmoówką”:

Dlaczego pan trzyma się za głowę, panie dyrektorze?

— Bo mi rozwiazano ręce.

Ano właśnie.

KRZYSZTOF POGORZELEC

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO

Jak w całym kraju, w sobotę 21 września rozpoczęliśmy w naszym mieście rok kulturalny i sezon artystyczny 74—75. Okazało to do końca najkrótszego skwitowania minionego sezonu i spojrzenia w jednoroczną przyszłość. Jest to również powód do przypomnienia związków kultury i sztuki ze społeczeństwem i jego najistotniejszymi problemami, które nie mogą być obojętne żadnemu twórcy i działaczowi kultury.

Taki też był główny ton wypowiedzi na spotkaniu przedstawicieli środowisk twórczych Łodzi z przewodniczącym Rady Narodowej m.Łodzi, I sekretarzem KŁ PZPR tow. Bolesławem Koperskim. Pierwszy sekretarz ciepło i serdecznie podziękował wszystkim twórcom za pomnażanie i wzbogacanie dorobku łódzkiej kultury, za aktywną działalność związków twórczych w dziedzinie upowszechniania, wyrażał także uznanie dla pracy łódzkich domów kultury, bibliotek, klubów i świetlic, które rozszerzają zakres swojej działalności i doskonalą metody pracy.

Gospodarz spotkania mówił

również o trudnej ale pomyślnej realizacji programu modernizacji i rekonstrukcji Łodzi, rozbudowy miasta i przedstawienia gospodarki na tory nowoczesności. Nie padło z tej okazji wiele liczb, ale jakie charakterystyczne: już obecnie ponad 60 proc. wyrobów łódzkiego przemysłu pochodzi z zakładów nowych bądź zmodernizowanych. Udział produkcji przemysłowej Łodzi w skali krajowej wzrósł do 5,2 proc. W ciągu niespełna czterech lat dokonany został istotny postęp społeczny, nastąpiła poprawa warunków pracy i życia łódzian, lepiej zaspokajane są ich potrzeby materialne i kulturalne.

Z kolei przedstawiciele środowisk twórczych (W. Budzyński, W. Garbaliński, Z. Józefowicz, B. Madej, E. Nizioł, R. Sobolewski, P. Szczepański, J. Wawrzak, J. Zdrojewski) mówili o minionym sezonie i planach na przyszłość. Ocenił ostatni rok jako więcej niż udany i dotyczył do wszystkich środowisk plastycznego, literackiego, teatralnego, muzycznego i filmowego. Świadczą o tym liczne nagrody i wyróżnienia zdobyte na krajowych

i międzynarodowych festiwalach, konkursach, wystawach. Podkreślano także większą niż w latach poprzednich „obecność” ludzi kultury w mieście, większe zainteresowanie społeczeństwa różnymi formami sztuki. Pozytywnie oceniono realizację programu „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” oraz robocze reperkusje uchwały czwórnego plenum Komitetu Łódzkiego PZPR poświęconego sprawom kultury.

Oficjalne otwarcie roku kulturalnego i sezonu artystycznego odbyło się w Łódzkim Domu Kultury w obecności licznie zgromadzonych twórców, pracowników i działaczy kultury. Podczas spotkania W. Ekiert, wicedyrektor Wydziału Kultury Urzędu Miasta, zapoznał zebranych z obszerną informacją o kompleksowym programie rozwoju kultury w mieście i jego realizacji.

Dzień inauguracji został także, co jest już dobrą tradycją, uświetniony dekoracjami zasłużonych twórców i działaczy kultury wysokimi odznaczeniami państwowymi i Medalami 30-lecia PRL.

J.W.

NAGRODY

Wśród laureatów nagród „Trybuny Ludu” za 1974 rok znalazł się LESZEK SKRZYDŁO — reżyser WFO, który otrzymał nagrodę „za podejmowanie w reżyserowanych przez siebie filmach tematyki zaangażowanej ideowo i politycznie, zwłaszcza za popularyzowanie w nich światopoglądu materialistycznego”.

Leszek Skrzydło jest absolwentem Uniwersytetu Łódzkiego. W czasie studiów był współorganizatorem Studenckiego Teatru Satyrycznego „Pstrąg”. Pisał teksty, reżyserował i występował w „Pstragu”. Po studiach podjął pracę w WFO, najpierw jako redaktor, później asystent reżysera, a następnie — reżyser.

Na swoim twórczym koncie Leszek Skrzydło posiada takie filmy jak: „Palace Ziemi Obiecanej”, które na różnych festiwalach i konkursach otrzymał 10 nagród, „Kształt pamięci”, „Gruźlica zawsze groźna”, „Do końca przerwy zostało 10 minut” — film o pracy Teatru Wielkiego w Łodzi, cykl „Śladami Piastów Śląskich”, „Portrety Henryka Rodakowskiego”. Ostatnio nakręcił cykl filmów poświęconych Biblii: „Co to jest Biblia”, „Interpretacja opowieści biblijnych”, „To też jest Biblia” i „Rekopisy znad Morza Martwego”.

Wśród laureatów nagrody „Trybuny Ludu” znalazł się też FRANCISZEK GRABARZ ze wsi Lubnice w powiecie wieruszkowskim, który otrzymał nagrodę „za działalność społeczną, a zwłaszcza za inicjatywę, w wyniku której zbudowano w powiecie, w czynie społecznym, sieć ośrodków kulturalnych i rekreacyjnych”.

Laureatem pierwszej nagrody w ogólnopolskim konkursie poetyckim o sporcie został znany poeta i dramaturg — ROMAN GORZELSKI, który pierwszą nagrodę otrzymał za poemat „Bieg olimpijski”. Jury konkursu, któremu przewodniczył Stanisław Ryszard Dobrowolski, nie przyznało drugiej i trzeciej nagrody.

Kolejną nagrodę otrzymał film „Profesor na drodze”, Tym razem w Gdańsku. Autorami tego filmu są: reżyser ZBIGNIEW CHMIELEWSKI i autor scenariusza — HENRYK CZARNECKI.

Wszystkim nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

NOTY I OPINIE

SMUTNĄ PAMIĄTKĘ z czasów jeszcze pierwszej wojny światowej wykryto w Lublinie. Podczas kopania dołu pod fundamenty natrafiono na skrzynki zawierające granaty żywnościowe. Przerwano prace i wezwano milicję, która następnie powiadomiła saperów o dziwnym a niebezpiecznym znalezisku. Jak się okazało skrzynki z żywnymi granatami zawierały kwas pruski — cjanowodor. Gaz ten przy stężeniu wynoszącym 0,2 miligramu, rozchodząc się w powietrzu zabija gwałtownie.

Saperzy stwierdzili, że nie ma niebezpieczeństwa, przystąpili do wydobywania niebezpiecznych ładunków. W wykopie znajdowały się granaty z kwasem pruskim oraz miny i granaty odlamkowe. Zachowane jeszcze napisy pozwoliły ustalić, że były one wyprodukowane przez Niemców w lipcu 1917 roku.

SKARB NA DNE OCEANÓW. Trwają obecnie poszukiwania bogactw naturalnych na dnie mórz. Głównie poszukuje się ropy naftowej, jako że współczesna technika pozwala na wydobywanie jej z dna morskigo.

Okazuje się jednak, że również inne bogactwa naturalne spoczywają na dnie oceanów. Specjalne ekspedycje prowadziły badania dna oceanów, poszukując rud metali i ropy naftowej. Badania takie prowadzili Amerykanie, posługując się statkiem „Glomar Challenger”, a także badania takie prowadzili uczeni radzieccy ze statku „Dmitrij Mendelejew”.

Okazuje się, że dna oceanów zalegają „budy” — inaczej konkrety, przypominające kształtem wielkie kamienie, a składające się z różnych metali: manganu, niklu, miedzi, kobaltu, ołowiu, cynku i innych. Obie ekspedycje stwierdziły, że zasoby metali na dnach oceanów są znaczne. Szacuje się na tysiące miliardów ton. Uczeń twierdzi, że są to bogactwa praktycznie niewyczerpane. Problem polega jednak na opracowaniu metod ich wydobywania. Można jednak sądzić, że w miarę wyczerpywania się bogactw naturalnych spoczywających na różnych głębokościach stałego ładu, ludzie sięgną i po bogactwa ukryte na dnie oceanów.

oko na gospodarkę

ŁODÓWKA na miliardy

Wierzyć się nie chce, ale nawet pobieżne obserwacje pewnych procesów zachodzących w przedsiębiorstwach oraz zakładach wytwórczych potwierdzają te liczby.

Jakie to fakty z naszego życia gospodarczego tak bardzo nas zadziwiają?

Otóż niedostateczna sprawność kooperacyjna naszej ekonomiki powoduje, że co roku „odkłada się” w postaci przyrostu zapasów i rezerw około 40—45 miliardów złotych. Z tej kwoty — 80 procent przypada na przemysł, co jest rzeczą godną szczególnej uwagi, jako że przecież w tym konkretnym przypadku mamy do czynienia nie tylko z czynnikiem decydującym o dynamizacji procesów gospodarczo-społecznych zachodzących w naszym kraju, ale nominalnie — najlepiej zorganizowanym.

Powiecie może: miliardy, procenty, wskaźniki. No, dobrze — ale powiedzmy, że udałoby się nam ulepszyć dotychczasowy system powiązań i zależności kooperacyjnych w przemyśle, to co by to w rezultacie przyniosło?

Niestety — i w tym przypadku musimy się posłużyć liczbami oraz procentowymi wskaźnikami, mimo że ma to być ekonomia na niedzielę, a więc niejako lekkostrawna. Otóż, jeśli uda się nam — i to możliwe w krótkim czasie — racjonalizować procesy gospodarcze, a przede wszystkim zaprowadzić odpowiedni ład i porządek w systemie powiązań kooperacyjnych, to nawet dosyć elementarne poczynania w tym zakresie — chodzi głównie o ulepszenie obrotu materiałowego — powinny zmniejszyć zbędny przyrost zapasów w naszej gospodarce o około 8 miliardów zł rocznie. Mało to czy dużo. Pozwoliłoby nam tutaj przypomnieć wagę, jaką kierownictwo partii i rządu przywiązuje do kampanii wyzwalania

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARVY (fotoreporter), JERZY RYTMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ P. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

DZIŚ I JUTRO KULTURY w województwie łódzkim

W dniu 18 września odbyło się plenarne posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR poświęcone sprawom kultury. Obradami kierował i sekretarzem KW tow. Zbigniew Zieliński. Referat Egzekutywy KW przedstawił tow. Jan De'wiski, sekretarz propagandy KW. Udział w obradach plenum KW wzięli: sekretarz KC PZPR tow. Wincenty Kraso, z-ca kierownika Wydziału Kultury KC tow. Edmund Makuch, wice-minister kultury i sztuki Aleksander Sycewski oraz licznie zaproszeni przedstawiciele środowisk twórczych i działacze kultury. W dyskusji bogatej we wnioski, postulaty, przemyslenia i refleksje wzięło udział 17 mówców. Na zakończenie obrad plenum Komitetu Wojewódzkiego zatwierdziło „Program rozwoju kultury w województwie łódzkim do roku 1990”.

Zrozumiałe jest, że nie można przynosić do przyszłości bez wnikliwej analizy i bilansu stanu aktualnego. Takie z kolei podsumowanie nie może obejść się bez choćby krótkiej refleksji odnośnie bazy wyjściowej, z której województwo łódzkie startowało.

Przed wojną obecne tereny województwa łódzkiego mimo centralnego położenia stanowiły jeden z najsłabiej rozwiniętych ekonomicznie okręgów kraju. Jeszcze w roku 1950 tylko 39 proc. ludności województwa utrzymywało się z źródeł pozarolniczych. Od ubiegłego roku jest odwrotnie — ten odsetek ludności utrzymuje się z rolnictwa. Świadczy to o dynamicznym rozwoju gospodarki, szkolnictwa, co zmieniło nie tylko strukturę ludnościową, ale i poziom wykształcenia. Obecnie w województwie ok. 13 tys. mieszkańców posiada studia wyższe, ok. 133 tys. wykształcenie średnie i ponadlicealne, 130 tys. zasadnicze zawodowe i niepełne średnie. Jest to więc społeczeństwo nie tylko pracowite i ambitne, potrafiące sprostać wymagom dynamicznego rozwoju gospodarczego regionu, ale jakościowo inne niż przed laty — bardziej chłonne, otwarte dla wiedzy, nowoczesności i kultury.

Taki stan rzeczy — jest wyłącznie efektem wysiłków podejmowanych w ostatnim 30-leciu. Praktycznie cała infrastruktura kulturalna powstała po wojnie. Dziś ta satysfakcja z dokonanego postępu nie wystarcza, bo w międzyczasie województwo łódzkie zostało zdystansowane przez inne regiony kraju. Choćby Poznańskie, Warszawskie czy Wrocławskie mają w tej chwili większe nasycenie obiektami kulturalnymi (mamy niższy stan księgozbiorów i bibliotek, słabiej rozwiniętą sieć kin, mniejszą liczbę domów kultury). Taką sytuacją, w obliczu potrzeb dnia jutrzejszego, mogłoby stać się barierą hamującą rozwój społeczno-ekonomiczny regionu. Te potrzeby przyszłości stwarzają konieczność zintensyfikowania i znacznego rozszerzenia działalności kulturalno-oświatowej i procesów kulturotwórczych.

W ostatnich latach wzrosły bardzo poważnie nakłady na rozwój bazy kulturalnej w województwie — prawie dwukrotnie w stosunku do lat 1966—70. Jednak pozostał problem efektywnego wykorzystania istniejących możliwości i zlikwidowania istniejących dysproporcji między powiatami, miastami i gminami.

Dysproporcje te najostre występują na wsi. Obecnie tylko biblioteki działają w każdej gminie. Klubów jest 683, świetlic 273 i tylko 22 wiejskie domy kultury. W pozostałych 135 gminach funkcje domów kultury spełniają w pewnym stopniu kluby i świetlice, ale są to placówki w większości zbyt małe i nieprzystosowane do szerszej działalności upowszechniającej. Szansa, i to już poważnie wykorzystywana, są czyny społeczne na rzecz rozwoju bazy kulturalnej na wsi. Np. w roku 1973 przyznano do budowy w czynnie społecznym 38 obiektów kultury o ogólnej wartości 36 mln zł, z czego 9 oddano już do użytku. Jest to duży sukces!

Na liście potrzeb czołowe miejsce zajmują biblioteki, mimo iż sieć bibliotek jest względnie dostateczna. Jednak ok. 40 proc. lokalni ze względu na ciasnotę i brak czytelników nie stwarza warunków do właściwej pracy z książką. Niedostateczna jest także sieć kin wiejskich (ok. 4500 miejsc na ponad 16 tys. w województwie) i zbyt mała ilość kin ruchomych.

Problem do rozwiązania to również dysproporcje. Są bowiem powiaty, które dysponują stosunkowo dużą ilością placówek k.o. (Wieluń,

Lask, Wieruszów, Radomsko, Piotrków, Sieradz) oraz takie, w których całe gminy stanowią „białe plamy” na mapie kulturalnej województwa.

Jak przedstawia się sytuacja w miastach i osiedlach? Tutaj stan posiadania wynosi: 26 domów kultury, 91 klubów, 130 świetlic. Na 78 wiejskich zakładów (załogi ponad 500 osób) tylko 10 posiada zakładowe domy kultury. Większość domów kultury — poza PDK w Kutnie, Lasku i Radomsku — pracuje w trudnych warunkach lokalowych. Na tym tle pozytywnie należy ocenić sieć bibliotek miejskich, księgarń, placówek muzealnych.

Wykorzystanie istniejącej bazy materialnej jak i sam poziom życia kulturalnego w miastach i wsiach województwa łódzkiego zależy od kadry i działaczy frontu kulturalnego. Ich rolę trudno przecenić, ale też stawia się im duże wymagania. Muszą to być ludzie wysoko kwalifikowani, ideowo zaangażowani, ambitni, pracujący twórczo. Takich działaczy w województwie jest wielu, ale generalnie sytuacja wymaga dalszej poprawy. W ostatnich 3 latach wyraźnie wzrosły kwalifikacje pracowników zawodowych placówek artystycznych. W zasadzie dobrze są przygotowani do pracy bibliotekarze. Najgorsza sytuacja jest w grupie pracowników niepełnozatrudnionych (ok. 50 proc. nie posiada wymaganych kwalifikacji). Władze wojewódzkie od lat prowadzą więc szeroką działalność szkoleniową i doskonalącą. Ostatnie decyzje państwowe zmieniające radykalnie status materialny pracowników kultury powinny niewątpliwie podnieść atrakcyjność tego zawodu i spowodować napływ ludzi o odpowiednich kwalifikacjach.

Efektów działalności kulturalnej nie mierzymy wprost, lecz skutkami społecznymi — jak umiędłowienie nowoczesnego myślenia, poziom ideowego zaangażowania, właściwa postawa obywatelska, kształtowanie stosunków międzyludzkich itp. Według takiej relacji, biorąc pod uwagę społeczno-gospodarcze osiągnięcia województwa, trzeba stwierdzić, że mimo różnych niedoskonałości, działalność kulturalna jest wysoce „rentowna”. Jej wpływ na pogłębianie wiedzy ogólnej, zawodowej i obywatelskiej, wzrost kultury pracy i kultury życia codziennego jest niewątpliwie. Realizujemy w ten sposób skutecznie zasadę, wg której system upowszechniania kultury pozwoli harmonizować sferę konsumpcji kultury ze sferą aktywności kulturalnej społeczeństwa. W celu stworzenia pomostu między inicjatywą produkcyjną i społeczną a inicjatywą kulturalną.

W warunkach województwa łódzkiego procesy te najpełniej obejmuje ruch społeczno-kulturalny, działalność regionalnych stowarzyszeń kulturalno-oświatowych (jest ich ogółem 41) oraz amatorski ruch artystyczny (ok. 900 zespołów i ponad 15 tys. członków). Towarzystwa Przyjaciół — Pabianice, Piotrkowa, Sieradza, Kutna, Łowicza, Wolborza — pobudzają aktywność wielu środowisk na rzecz rozbudowy i programowania działalności placówek k.o., umacniają społeczne więzi, pobudzają dobre pojęty patriotyzm lokalny. Amatorski ruch artystyczny kulturywuje stare tradycje, pielęgnuje skarby folkloru ludowego, jest w wielu wypadkach zaczątkiem do głębszego zainteresowania sztuką, stwarza jakieś szanse samorealizacji artystycznej. Podkreślić przy tym trzeba, że wiele zespołów teatralnych, orkiestr dętych, zespołów tanecznych jak np. zespół w Liniech Reymontowskich, Wiśniowej Górze, Rzęczy, Konopnicy, Dobroń osiągnęły wysoki lub nawet bar-

dzo wysoki poziom artystyczny i znane są w całym kraju. (Np. niedawno pisałem na tych łamach jak Zespół z Wiśniowej Góry zawojował na Węgrzech cały komitat Csongrad).

Województwo łódzkie jest także jednym z najbardziej żywotnych ośrodków twórczości ludowej. Ok. 650 twórców ludowych uprawia rzeźbę, tkactwo, kowalstwo artystyczne, wyćnankarstwo, malarstwo i zdobnictwo papierowe — a więc prawie wszystkie gatunki sztuki ludowej. Dzięki opiece władz (konkursy, stypendia, wystawy, organizowanie zbytu) stworzono warunki do kultywowania tradycji, popularyzacji artystów i ich dzieł w społeczeństwie.

Pomówmy teraz o profesjonalistach, o środowiskach twórczych i zawodowych placówkach i instytucjach kulturalnych, poczynając od formalnego stanu posiadania województwa. (Dla czego, formalnego, wyjaśnię później).

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej przygotowuje w ciągu roku 6 premier i organizuje ok. 370 przedstawień, a średnio w roku spektakle PTZL ogląda ok. 100 tys. widzów.

Państwowy Teatr Lalek „Pinochio” przygotowuje w ciągu roku 4 premie-ry, organizuje ok. 620 przedstawień, dla ok. 160 tys. młodych widzów.

Estrada Łódzka przygotowuje w ciągu roku ok. 2 tys. różnorodnych imprez dla ok. 700 tys. widzów.

Związek Polskich Artystów Plastyków utrzymuje stałą wież z wieloma zakładami pracy, domami kultury, klubami i świetlicami, organizując wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby. W latach 71—73 przy pomocy Biura Wystaw Artystycznych zorganizowano 60 ekspozycji, które zwiędziło ponad 50 tys. osób. Od wielu lat organizowane są Ogólnopolskie Plenery Ziemi Łódzkiej, w których corocznie uczestniczy ok. 50 art. — plastyków z całej Polski. Dzięki temu pomnaża się artystyczna dokumentacja piękna architektury i krajobrazu Ziemi Łódzkiej, życia i pracy społeczeństwa regionu.

Znane są powszechne związki łódzkiego środowiska literackiego z województwem, zarówno poprzez osobiste kontakty, spotkania autorskie, kiermasze książek, jak i liczne związki uczuciowe egemplifikowane w wierszach, powieściach, reportażach.

Filarmonia Łódzka zajmuje się upowszechnianiem muzyki głównie wśród młodzieży szkolnej, organizując np. w roku 1973 640 audycji umuzykalniających dla ponad 200 tys. uczniów. (Dodajmy przy okazji, że w województwie działa 8 szkół muzycznych i 57 ognisk gdzie kształci się ponad 2 tys. uczniów).

Przykłady współpracy środowisk twórczych z województwem można by dalej mnożyć. Są one ujęte w formy instytucjonalne i nie zorganizowane, powieściowym osobiste. Wreszcie i te

których nie da się zewidencjonować, jako że nie ma danych liczbowych odnośnie udziału mieszkańców województwa w licznych imprezach kulturalnych, na które dojeżdżają do Łodzi. Tu trzeba przypomnieć fakt, że Łódź jest stolicą kulturalną województwa łódzkiego i podkreślić pozytywne konsekwencje jakie z tego faktu wynikają. Dodajmy zaraz, że pozytywne dla obydwu stron. Jest w subiektywnym odczuciu pisać te słowa, że to wzajemne „przenikanie” powinno być głębsze, pełniejsze, efektywniejsze. Jest bowiem sprawa lepszego wykorzystania możliwości łódzkich środowisk twórczych i działających na terenie miasta instytucji kulturalnych; z drugiej zaś pełniejszego zaspokojenia stale rosnących potrzeb odbiorców dóbr kulturalnych z terenu województwa. Dlatego też bardzo cenną i rokiem nadzieję na przyszłość wydaje mi się przyjęcie w dokumentach Plenum KW punktu, który zacytuje w całości. „W realizacji zasad współdziałania Łodzi i województwa łódzkiego w dziedzinie kultury, organa administracji zmierzają do pełnego włączenia wszystkich placówek i ogniw kultury w obydwa organizmach administracyjnych do zaspokajania rosnących potrzeb kulturalno-oświatowych całego regionu”.

Efektem takiej koordynacji i partnerstwa powinien być (nikły dotychczas) przepływ wartości kulturalnej również w drugą stronę, tzn. z województwa do Łodzi. Mam tu na myśli głównie najwartościowsze osiągnięcia sztuki ludowej i amatorskiego ruchu artystycznego, ekspozycje muzealnych itp. Jak do tej pory łódzianie mogą zapoznać się z tymi wartościowymi propozycjami tylko podczas wakacyjnych-turystycznych wояж lub zgola przypadkowo. Tak czy inaczej, w niewielkim stopniu.

Oferta kulturalna Ziemi Łódzkiej to także zabytki. W 30-leciu w ochronie dóbr kultury w woj. łódzkim włożono wiele serca i pieniędzy. Przeprowadzono remonty, odbudowy i adaptacje około 350 najcenniejszych zabytków. Są wśród nich zamki w Unieście, Rawie Mazowieckiej, Łęczycy, Oporowie, dwory w Lubcu, Sleszynie i Wojszycach, pałac w Ujeździe, mury obronne w Piotrkowie i Wieluniu. (Przeznaczono je w większości na muzea i domy kultury). Aktualnie powstaje Sieradzki Park Etnograficzny, gdzie znajdują się najcenniejsze zabytki budownictwa ludowego z Sieradzkiego, Radomszczańskiego i Pajęczańskiego oraz rezerwat archeologiczny — pierwszy tego rodzaju obiekt na terenie województwa łódzkiego.

Program rozwoju kultury w województwie łódzkim do roku 1990 ma jakby trzy horyzonty czasowe: zadania dnia dzisiejszego, obecnej pięcioletki — zadania następnego planu 5-letniego — perspektywiczne cele do r. 1990. Wg tych etapów programuje się organizację ośrodków i centrów kultury o różnicowanej funkcji: zasięgu oddziaływania i wzajemnej zależności. Zakłada się przy tym, że struktura systemu upowszechniania kultury winna być elastyczna, ściśle związana z potrzebami i możliwościami określonych środowisk.

Podstawową jednostką systemu upowszechniania kultury na wsi i w małych miastach będzie Gminny Ośrodek Kultury, umożliwiający w szerokim zakresie kontakt ze sztuką, wędzą, rekreacją i wypoczynkiem. Bazą materialną GOK będzie: kino, sala widowiskowa z zapleczem, sala wystawowa, biblioteka z czytelnią, klub prasy i książki, księgarnia lub punkt sprzedaży książek, pomieszczenia dla pracy zespołów zainteresowań, organizacji społecznych i stowarzyszeń: boisko, basen, plac gier i zabaw dla dzieci.

W powiatach natomiast ośrodkami zdolnymi do tworzenia samodzielnych wartości kulturalnych, które służyć będą zarówno mieszkańcom miast jak i powiatów będą Powiatowe Ośrodki Kultury. POK będą dysponować i zarządzać pracą: Powiatowego Domu Kultury, Powiatową Biblioteką Publiczną, salą widowiskowo-teatralną, salą wystaw artystycznych kinem szerokoekranowym, domami kultury i świetlicami zakładowymi, a w niektórych powiatach regionalnymi muzeami.

W związku z planowanym perspektywicznym rozwojem Piotrkowa, Kutna, Sieradza, Łowicza, Bełchatowa, Wielunia powstaną tam Regionalne Ośrodki Kultury. ROK będzie miał za zadanie upowszechnianie kultury jeszcze w szerszym zakresie niż ośrodek powiatowy, organizować imprezy o zasięgu wojewódzkim, i co najważniejsze — dbać o powstanie i rozwój własnych środowisk twórczych.

W miastach i osiedlach przemysłowych jak Pabianice, Tomaszów, Zgierz, Zduniska Wola, Opatów, Aleksandrów, Konstantynów, Żychlin, Praszka, Żelów, Głowno, Niewiadów i Wola Krzysztoporska powstaną będą Robotnicze Centra Kultury.

Zwiększy się poważnie rola Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, jako m. in. centralnego ośrodka dyspozycyjnego. Tutaj zostanie powołane Wojewódzkie Centrum Kultury w skład którego wchodzić będą: Ośrodek Programowania i Organizacji Prac, Ośrodek Informacji Kulturalnej, O. Doskonalenia Kadry, O. Upowszechniania Kultury Filmowej, Teatralnej i Estradowej, O. Upowszechniania Plastyki, Biuro Wystaw Artystycznych. WCK będzie więc ośrodkiem programującym i koordynującym całokształt życia kulturalnego w województwie, podobnie jak na odpowiednich szczeblach Regionalne, Powiatowe i Gminne Ośrodki Kultury. Przyjęty program przewiduje zorganizowanie do roku 1982 pełnej sieci GOK, do roku 1985 POK, a do roku 1990 Ośrodków Regionalnych i Centrum Wojewódzkiego.

Idea tak pomyślanego systemu upowszechniania kultury jest umożliwienie mieszkańcom województwa szerokiego kontaktu, niezależnie od miejsca ich zamieszkania, z najwarteściowszymi osiągnięciami środowisk twórczych, zawodowych instytucji artystycznych oraz społecznego ruchu kulturalnego. O powodzeniu przedsięwzięcia na tak szeroką skalę zadecydują kadry. Program przewiduje w tym zakresie dalszy wzrost ilościowy i podnoszenie poziomu kwalifikacji kadry zawodowej oraz (jako element podstawowy) rozszerzenie kręgu społecznych działaczy kulturalnych. Bez tego to w głównej mierze zadanie dla organizacji młodzieżowych — ZHP, ZMS, ZSMW — organizacji społecznych, związkowych, spółdzielczych oraz stowarzyszeń kulturalnych. Na wsi zwłaszcza większą rolę powinna odgrywać inteligencja — lekarze, inżynierowie, służba rolna — powiększając kręgi społecznych działaczy kultury. Program rozwoju kultury w województwie będzie skutecznie realizowany — podkreślają to wyraźnie uchwały Plenum KW — pod warunkiem wysokiej aktywności wszystkich organizacji i instytucji współuczestniczących w tym dziele zakrojonym na skalę bez precedensu.

W związku publikacji nie sposób przedstawić nawet części bogactwa problematyki związanej z tworzeniem nowego, wszechstronnego modelu socjalistycznej kultury przyszłości. Będziemy po prostu dyskusjom nad szczegółowymi koncepcjami i realizacjami — na co dzień towarzyszyć.

JERZY WAWRZAK



Fot. J. Magierski

... HEJ, Z TEJ GÓRY, hej, z Wiśniowej!...



Fot. Włodzimierz Parys

Gdzieś tam, w pamięci telepała się parano nieosła i jakas taka rozmyta informacja, pewnie jeszcze z lat pięćdziesiątych: Wiśniowa Góra — wieś chuligańskich burd i zbiorowych bójek na pięści, kije i noże między bandami rozwydrzonych wyrastków, wyspa powszechnego niepokoju i bezprawia. Ech, tam! Skleroza zaczyna się podobno już w niemowlęctwie — pewnie więc coś pokręciłem.

Jechałem — przyznam szczerze — bez przekonania. Wypad na łeb, na szyję, bo zamówienie prawie na wczoraj. Załowałem nawet po cichu, że je przyjąłem. W ostatniej chwili chwyciłem od mgra Krzysztofa Osady z Urzędu Powiatowego w Łodzi najpewniejszy adres: Osiedlowy Dom Kultury, Danuta Więclaw — kierowniczka. A do tego, wstyd przyznać — łodzianin niemal z dziada pradziada — w życiu jeszcze w Wiśniowej nie byłem.

Trudno, stało się! Hamujemy obok kiosku „Ruchu” na przecinającej wieś głównej drodze.

— Jak to, gdzie? — pyta sprzedawczyni i odpowiada zarazem — Naprzeciw!

Piętrowy murowany budynek z żółtawym tynkiem obwieszony tablicami: „Biblioteka” — „Klub” — „Kawiarnia” — „Kino”. Wdrapuję się kretymi schodkami — na dole pozamykane — na piętro. Mała sala zastawiona kawiarnianymi stolikami i solidnie statygowanymi fotelami.

— Pani kierowniczka? Nie, nie ma! Jaki tam pech? Jak co dzień, jeszcze przedjście. Gdzieś — tak przed szóstą. Teraz można ją znaleźć w domu. Ławo trafić: dalej prosto, przed remizą w prawo i do końca, taki domek obok bramy do campingu. Znajdzie pan bez trudu, a jak nie, to każdy drogę pokaże, wszyscy przecież znają naszą kierowniczkę...

„Alfa-Romeo” w swojskiej scenarii
Przetrąca w drewnianej mordowni
Dzik zachód na wschód od Łodzi

Zgodnie z instrukcją skręcamy w prawo. Z boku wyrasta — przypominając o dzisiejszym obiedzie — barak z pomalowanych olejną farbą dech, do których przystawiono, nie powiem, nie najskromniejszy sztyl: „Restauracja Wesoława”. Przed wejściem stoi wprawdzie mleczno-czarna „Alfa-Romeo”, lecz w drzwi samych swoich już całkiem obrazek. Schody obstawione przez kilkunastu gości sączących z kufli cienkie piwko.

Wewnątrz — pustawo. Wchodzimy do drugiej sali. Stare to, widać, ale czyste. Cisza i spokój. Wtem w poprzedniej izbie rozlega się bełkot i wytacza się zjawy w czarnym garniturze cudem utrzymujące równowagę. Kelner faktycznie szybki: już po bełkocie i zjawie.

Kilka stółków dalej siada trzech facetów. Są już dojrzały. Cisza jednak wciąż i spokój. Nagle jeden wykrzykuje coś głośnie i rżnie ciężko pięścią w blat. Spoglądam w tamtą stronę. Podnosi się — taki z nastrożonymi blond-kreciołkami w stylu Angela Davis — i już, już... odwrócony w naszą stronę... A gdzie tam, skłania się i mówi po prostu: — „Przepraszam!”

Zdziwiony i kawał wątroby omal mnie nie zadławia, a tu z pierwszej sali wali prosto na nas następny — w rozchełstanej polówce, z czerwona twarzą, ręce mu dziwnie chodzą. Jasne — do naszego stolika. W ostatniej dosłownie chwili desperackim wygięciem wymija nas i jeno: — „Przepraszam — mówi, wstając się po chwili w drzwi miejsca sekretnego.

Cholera, mordownia taka — lokalni patrioci, wybaczyć mi! — a tu nagle jakiś wersal. Na schodach potykam się. Nie, nikt mi nogi nie podstawił. Wrecz przeciwnie. Na moje „Przepraszam” słyszę: „Proszę bardzo” i przeście wolne, że i bryczka można.

— Proszę pana — usłysze za 2 godziny — gdyby trafił pan tu kilkanaście lat temu. Knapy nie ma, jest świetlica. A wtedy tak: przy jednym stoliku — nasi, przy drugim — Widzew, przy

trzecim — banda z Bedonia, przy następnych — tak samo, po kolei. Szmer tylko i napięcie. Obcinają się, próbują na ślip i nie, tylko czekają. Czekają, żeby można i lu — w mordę! Pięścią — to pięścią, kijem — to kijem, jak trzeba — to i nożem. Aż trudno uwierzyć, że w tym też baraku zaczęła się sława naszej wsi i to wcale nie ta, najgorsza, lecz ta — wreszcie dobra...

Właśnie. Potwierdza te słowa kierowniczka Osiedlowego Domu Kultury — Danuta Więclaw. Siedzimy wreszcie w jej małym, przytulnym gabinecie. Stucham.

Słucham i patrzę na panią Danutę: usiłuję sobie wyobrazić ją — sprzed dziewiętnastu lat. Młodziczka, pełna energii i zapału, dziewczyna. Naivna — ktoś by dziś powiedział — bo biorąc pewnie na śmiertelnie serio Makarenkowskie poematy i metody pedagogiczne.

Wraca do rodzinnej wsi po kilkuletniej nauce w szczyńskich szkole ruchu kulturalnego. Trafia — na wschód od Łodzi — wprost na „dziki zachód”.

Półtoratysięczna sypania wielkiego miasta, zamieszkiwana przez dojeżdżających do pracy w Łodzi robotników, daleka jest od namiastki spokoju i ciszy. Wieczorem strach z chłupy się ruszyć. Nawet milicyjne patrole przemycają chylkiem i przysłowiowo klucz opłotkami. Najwyższy wskaźnik przestępczości w województwie — to nie było co! We wsi królują niepodzielnie i niezawisłe macy, rozrabiają, awanturzą, zabijają, niebieskie ptaki, hałaburdy, podżegacze, maciele i inne kozaki, czy wreszcie i bardzo po prostu — chuligani. Słowem, co przedniejsi młodzi z Wiśniowej Góry. Nie tylko zresztą stąd, bo i przebywający na nieustannych gościnnych występach jeszcze groźniejsi i zapalczywsi rywale z pobliskiego Bedonia, a nawet i łódzkiego Widzewa, którzy całymi bandami nawiedzają Wiśniową Górę i na jej terenie załatwiają swe porachunki.

Bywa nawet, że codzienne bójkę przestawia się na regularne kilkudziesięcioosobowe bitwy, jak chociażby ta niedawna, w czasie której to nawet — ktoś? gdzieś? milicja? — użyto broni palnej. Toczace się z dnia na dzień, coraz szybciej, błędne koło. Na wyrwanie z niego Wiśniowej Góry i jej niebieskich ptaków w niedziele — rzecz jasna — urodzonych nie ma większych nadziei...

Makarenko w spódnicy i jego pomysły
Niebieskie ptaki z anielskim pierzem
Od wozu konnego i traktora do „Mercedesa”

Jak przerwać to błędne, a jakże niechlubne koło? — martwiła się dziewiętnastoletnia Danuta Więclaw, która we wsi rodzinnej tak stan zastała, obejmując we władanie ów sławny barak, dumnie wówczas świetlica nazwany. Ba, pewnie i mistrz Makarenko polamałby szacowne a wysłużone zęby na takim orzechu. Co robić...?

— Zawsze uważałam, że nie ma młodzieży zły czy trudnej — wspomina dzisiaj — jest tylko ta, która nikt się nie zajmuje lub nie potrafi zająć. Zastanawiałam się, jak przyciągnąć, w dobrym znaczeniu tego słowa, młodzież do świetlicy, którą zaczęłam prowadzić...

I wpadła na pomysł. Ot, taki sobie, chociaż w powszechnej opinii — nie-realny, ba!, nawet absurdalny. Umyśliła sobie mianowicie świeżo upieczona specjalistka — jak by ją dziś nazwano — do spraw k.o., żeby założyć amatorski zespół pieśni i tańca, a wcielić do niego — prócz młodych grzecznych i prawomyślnych — również i największych kozaków i awanturników. Słowem, żeby było od dziś na odwrót, na odwieki i z przytupem, a nie jak dotąd — kulakiem w cudze zęby.

Przekąsy, kpiny, prześmieszki, ironie, politowania, drwiny — w takiej atmosferze rozgrywały się pierwsze poczynania kierowniczki jeszcze nie narodzonego zespołu. Dziś nikt tego nie chce pamiętać. I dobrze. Nikt też już dziś się nie dziwi, że młodzież — bądź, co bądź — robotnicza, z wielkim miastem na co dzień zżyta, wielkomiejskim obyczajem i aspiracjami zarazona chce się bawić — na modę babek i prababek — jakimiś tam przyzwoitymi obertasami, przyspywkami, pierzawkami i całym tym anachronicznym folklorem. Bo jednak — dzie-

wieństwa lat, to ciężki argument...

— Przez tych dziewiętnastoletnich — mówi Danuta Więclaw — przewinęło się przez nasz zespół pięćset... sześćset... eee, więcej... około tysiąca osób. Rotacja. Młodzi dorastali, pobierali się, mieli dzieci, własne sprawy, nowe zainteresowania, mało czasu...

Nie ma chyba teraz w Wiśniowej Górze ani jednej rodziny, która ongiś lub obecnie, nie miałaby swego reprezentanta w zespole. Zwalazcza, że skład był i liczebnie różny. Zaczęło się od sześciu bodaj par tanecznych, potem było osiem, następnie dwanaście, a po kilku latach — kilkadziesiąt. Dziś skład się ustabilizował i ograniczył do dwunastu par tanecznych, dziesięciu solistów i sześciu osobowej kapeli. W tym jednak gronie działa nadal kilka osób, które tańczą, grają czy śpiewają od samego prawe początku...

— A początki były rzeczywiście trudne — mówi Marian Wojciechowski. Przewodniczący koła ZSMW. W zespole tańczy od wielu lat, ostatnią pięciolatkę przeżył z Henryką Kozłowską, szwaczka z andrzejowskiego „Czuj-czytu”. — Początki więc były trudne. Pamiętam, jak przed każdym występem trzeba było organizować stroje. Do Łodzi wyruszała ekspedycja z walizkami i tobołkami. Prawie niczym po prosbie: pożyczali od bogatszych zespołów stroje, przynosili, prali, prasowali, a zaraz po występie znów pranie, prasowanie i z powrotem z walizkami i tobołkami... Mówię „oni”, bo na tym etapie — jako pederak zupełnie mogłem tylko kibicować i marzyć. Nie pomagała nawet najwyższa protekcja w osobie groźnej kierowniczki, czyli rodzonej siostry... W tych latach zespół wyjeżdżał na występy zazwyczaj wozem konnym. Ogromnym osiągnięciem był — po jakimś czasie — traktor, a prawdziwą sensację wzbudziła we wsi jedna z pierwszych ciężarówek. Jakże do niej zawitały i to — po nasz zespół. Nie ma co nawet porównywać tamtejszej sensacji z obecnymi przyjazdami „Mercedesów” czy „Berlietów”, zabierających nas na koncerty...

Recepta: taniec trzy razy dziennie
Z wizytą u królowej sofijskiego
balu
Od scenki w Witoni do Sali Kongresowej

Recepta: taniec trzy razy dziennie bywała nieraz skutecznym panaceum na różne niedomagania i trudności. Zwalazcza, że zespół rychło stał się instytucją od spraw różnorodnych. Kierowniczka pomagała znaleźć pracę, łagodziła konflikty między rodzicami a dziećmi, a nawet potrafiła wydebić od prokuratora zezwolenie na występ dla niefortunnego grajka, który — w cywilu, jako „chuligan” — podpadł i trafił do marmra. Jest on zresztą dzisiaj jednym z szacowniejszych obywateli Wiśniowej Góry. Podobnie, iak i wielu imu podobnych. I mało kto im pamięta wybrki ze szczyńskich lat.

Są to tzw. fakty, ale... Ale, czy rzeczywiście rola, jaką zespół odegrał w poskramianiu Wiśniowej Góry nie jest przypadkiem dziś, z perspektywy lat, wyolbrzymiana? Czy rzeczywiście zespół był tak idealnym antidotum na ogarniającą wieś inwazję chuligaństwa?

Wątpliwości usiłuje rozwiać Paweł Garnys. W cywilu blacharz z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych, w zespole zaś: para od Małgorzaty Filip, przadki z Łódzkiego Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju.

— Nie ma w tym ani trochę przesady. Zespół — to było duże wydarzenie, skupiające uwagę całej młodzieży. Na początku ci, najbardziej rozbrzyknali, pokpiwali z początkujących tanecznych czy śpiewaków, ale niepostrzeżenie i sami zaczęli przychodzić na próby. Niekiedy nie trzeba było specjalnie zachęcać, aby i oni zmierzli własne siły. Wreszcie w Wiśniowej Górze było gdzie pójść wieczorem. Zająć się czymś, pożartować, pobawić. Już wtedy, choć zespół był skromny i nieznan, znaleźli się w jego składzie uchodzący zaczęła z szczególne wyróżnienie i powód do dumy. Wtedy! A teraz, gdy zespół jest zapraszany na ważne imprezy krajowe i zagraniczne...

Wojazże zagraniczne. Paweł Garnys służy nam za przewodnika. Jedziemy do Bukowca. Na spotkanie z królową sofijskiego noworocznego balu — Krystyną Tkaczuk (nb. nie došlo ono do skutku, bo Krystyna „za chrześcijan” do Wrocławia pojechała).

— To pewnie tutaj! — zatrzymuje-

my się przy sporym drewnianym z białymi wapnem ścianami. W głębi obejścia stodoła zwieńczona strzechą. A za nią złote rżysko zastawione zgrabnymi mendełkami. Pola ciągną się hen, pod Wiśniową. Tędy właśnie, na skróty, trzy kilometry przez pola i łąki, w dzień i wieczorami, w upał i słońce, po błocie i w śnieżną zawieję — od kilku już lat biega Krystyna na próby do sali kinowej w domu kultury. Stamtąd też wraca do domu, zmęczona, po wielogodzinnych ćwiczeniach, aby skoro świt ruszyć w pole czy w obejście pomagać rodzicom.

Ta sama Krystyna na sylwestrowym balu w Sofii... Stop, trzymajmy się chronologii!

— Przez wiele lat zespół nasz — mówi Danuta Więclaw — mimo coraz wyższego poziomu, pozostawał w cieniu bogatych i renomowanych zespołów z „Harnama” czy Łódzkiego Domu Kultury. Przez wiele lat nie udało nam się wybić. Szczęśliwa passa zaczęła się wreszcie pięć lat temu. Doczekaliśmy się. Pomógł nam w tym przypadek. Ot, życie. Otrzymałmy zaproszenie do Witoni, w powiecie łęczyckim, gdzie odbywały się wieloletnie eliminacje Olimpiady Wiedzy Rolniczej. Zaproszono nas w ostatniej chwili i ostatniej... kolejności. Wszystkie doborowe zespoły odmówiły, z powodu za małej estrady. Nie obrażaliśmy się. Przecież zawsze przyjmowaliśmy i przyjmujemy zaproszenia z najmniejszej nawet i najbliższej wsi. Scena w Witoni była rzeczywiście za mała, tańczyliśmy więc i śpiewaliśmy i na niej, i przed nią...

Wtedy właśnie zespół wygrał los na estradowej loterii. Swoją postawą — i, rzecz jasna, kunsztem — zwrócił uwagę władz Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej, który objął nad zespołem troskliwość i trwającą po dziś dzień patronat. W dwa miesiące po witońskim występie zespół wziął udział w zorganizowanym z okazji III Zjazdu ZMW koncercie, w... Sali Kongresowej.

W marmurowej sali leningradzkiego pałacu
Węgierski malarz zauroczony bez reszty
Pierwszy polski zespół nad Adriatykiem

Potem posypały się kolejne zaproszenia: na różne regionalne i centralne imprezy, zloty, zjazdy, festiwale. Ostatnio zaś dziewczęta i chłopcy z Wiśniowej Góry zaproszeni zostali do udziału w „Panoramie 30-lecia PRL”. To zaproszenie cały zespół uważa za jedno z najszczęśliwszych wyróżnień, jakie go spotkało.

— Występujemy jednak nie tylko na krajowych estradach — mówi kierowniczka zespołu. — Po raz pierwszy wyjechaliśmy za granicę w 1972 roku — „Pociągami Przyjaźni” do Kraju Rad. Występowaliśmy w Moskwie, Leningradzie i Mińsku. Najpiękniejsze wspomnienie kojarzy nam się z marmurową salą wspaniałego Pałacu Młodzieży w Leningradzie. Niezapomniany widok: marmurowe kolumny osłonięte białym muślinem, a na tym tle — łowicka mozaika kolorów ułożona przez stroje naszych tanecznych... Jaki początek — tak i rok cały. Ten rok jest szczególnie bogaty w zagraniczne wojaje. Na przełomie 1973 i 1974 roku przebywał zespół na zaproszenie Dymitrowskiego Komsomolu w Bułgarii. Sylwestra spędzali młodzi z Wiśniowej wespół z dużymi grupami rówieśników ze Związku Radzieckiego, Jugosławii Rumunii i Bułgarii.

Im bliżej Nowego Roku — oczekiwano go przez każdą z grup o innej porze — tym gorętsza i żywsza atmosfera na sali balowej. Po kilku godzinach wspólnej zabawy zaczynają się improwizowane piosenki każdej narodowości. Danuta Więclaw zwoluje swoją gromadkę. Cichaczem wymyka ją do swoich pokoi, zrzucając cywilne ciuchy, wdziewając ludowe stroje i przy dźwiękach własnej kapeli wkraczają polonezem między bawiącą się w najlepsze młodzież. Wiwatom nie ma końca. Cała sala w uznaniu dla młodych Polaków wita szampanem. Nowy Rok o naszym, warszawskim, czasie. A do tego jeszcze bezapelacyjne — mimo silnej i pięknej konkurencji — zwycięstwo w wyborach królowej balu Krystyny Tkaczuk...

— Zrobiście dla Polski kawał dobrej roboty — tymi słowami zęgnął ich w kilka miesięcy później dyrektor Ośrodka Kultury Polskiej w Buda-

peszcie. W czerwcu bowiem, jako jedyny amatorski zespół z regionu łódzkiego, dziewczęta i chłopcy z Wiśniowej Góry spędzili dwa tygodnie w Szegedzie, uczcniście w organizowanych tam Dniach Kultury Ziemi Łódzkiej.

W czasie pobytu na Węgrzech zaprzyjaźnili się z tamtejszym malarzem — Janosem Hemertem. Kiedy w miesiąc później jechali do Jugosławii na festiwal folklorystyczny do Subotnicy i Piranii zawiadomili o tym węgierskiego przyjaciela. A ten — nie dość, że zorganizował im wyśmienity nocleg z nie gorszym witkiem, za którego nie pozwolono im zapłacić ani forinta — to jeszcze pilotował cały zespół do samej jugosłowiańskiej granicy.

— Witamy pierwszy polski zespół folklorystyczny, występujący nad Adriatykiem — niezwykle serdecznie, choć trochę na wyrost, zapowiedział ich w Piranii konferensjer. Wystąpili tam pod gołym, osłepiająco błękitnym niebem na zawieszonoj u szczytu skalistego brzegu estradzie. Od błękitu, słońca, przestrzeni i niezwykłych aplauzów na wszystkich pięciu koncertach wciąż jeszcze przyjsię nie mogą do siebie...

Kiedy kres przymusowego celibatu?
Raz na ludowo w małżeńskim
stanie
Dotknąć się ślubnego kobierca

— Niech pan tego nie pisze — zastrzega się Danuta Więclaw. — Nie chcę ich rozpuszczać, ale tak, po cichu, sama ich nieraz podziwiam za wytrwałość, samozaparcie i energię. Praca, praca, jeszcze raz praca. Pracy jest tyle, że kilka spośród naszych dziewcząt nie zdążyło jeszcze wyjść za mąż. Po prostu, mają one czas tylko na te zaloty, inscenizowane w naszym programie.

— Ja nie Kocham chłopców żadnych, ani brzydkich, ani ładnych — śpiewa na koncertach ślicznie, jak wszyscy, zapewniając, głosem Teresa Kawula, pracownica łódzkiego Urzędu Telefonów. Mieszka vis à vis domu kultury, który stał się jedynym ośrodkiem jej prywatnego życia już przed siedemnaściami laty, kiedy to jeszcze jako uczennica szkoły podstawowej została przyjęta do zespołu.

Mimo celibatu — jak mawiają dziewczęta — przymusowego, nie jest ze sprawami matrymonialnymi aż tak źle. Bo co w zespole popatrzyć, to małżeństwo: i Pilecysy przecież, i Wojnowscy, i Gabarowie, i Swiderkowie, a wreszcie — Misiakowie. Przybędzie pewnie jeszcze jedno: Redlewskich. Siedzimy w gabinecie kierowniczki, a tu drzwiami — oknami nie, bo pierwsze piętro — wala kandydaci do zespołu. Tak, podobno, niemal dzień w dzień. Andrzej i Mariola Redlewscy przyszli z odległego o cztery kilometry Olechowa. On: kierowca z łódzkiej ZPB im. Niedzielskiego, gra na kontrabasie. Ona: nie pracuje teraz, bo 2,5-miesięczne dziecko; tańczyła kiedyś w zespole ŁDK. W opiece nad bakiem pomaga babka, da się więc na próby wykreślić kilka wieczorów w tygodniu.

— Dlaczego chcą wstąpić do zespołu? — zadaje pytanie, a po chwili żałuje, bo przecież odpowiedź jest jasna, a takie pytania, tu, w Wiśniowej Górze, mogą być poczytane za... afront.

Bedzie to zatem małżeństwo kolejne, lecz — trochę wbrew tradycjom — gotowe. W przeciwnieństwie do tamtych, które dotychczas się czy dotychczas nie tylko zbiorowych sukcesów, ale i całkiem prywatnego ślubnego kobierca.

Na dziewiętnastego października wyznaczony jest termin ślubu następnej pary, tańczącej ze sobą już trzy lata: Marii Margas i Ryszarda Wojtas — ślusarza i magazynierki z Łódzkiego Zakładów Ceramiki Budowlanej. Na ich ślubie nie będzie pewnie Mendełsohna, lecz mazurki, kujawiaki, polonezy, oberki i polki. Zespół cały, bez zaproszenia — bo i po co?, szykuje się do uświetnienia ślubu i wesela najmniejszą, folklorystyczną galą...

PS. Zaproszenie za to dostało się — przy okazji — wyżej podpisanemu, który — być może — skorzysta z niego, jeśli mu tylko czas pozwoli. Przekonał się bowiem jak najzupełniej do Wiśniowej Góry i z przyjemnością przyjął zaproszenie nawet od piaszt niebieskich, a co dopiero o ambasadorach mówić polskiej kultury.

SPORY O REALIZM

Dalszy ciąg ze str. 1

Popularność jest wartością ideologiczną z postępowością. Wartości te oznaczają zgodność z nurtem historii, z faktycznymi dążeniami mas. Wziętość artysty poprzez stulecia dowodzi, że wzniecone przezeń wartości były widoczne tego rodzaju, iż mogły się zakorzenić w dziejach człowieczeństwa. Ocena taka jest oczywiście możliwa ex post, z perspektywy wieków.

Z takiego stanowiska wynika pogląd Sandaury na rolę krytyki, który „nie może osądzić wielkości współczesnego mu dzieła, lecz tylko stwierdzić jego artystyczną doskonałość”. Przyszłe zaś jego losy może on tylko z większą lub mniejszą trudnością przepowiadać lub o nie walczyć. Tu kończy się jego rola stwierdzająca, zaczyna bojowa.

Najwięcej uwagi poświęcono, w pierwszych miesiącach powojennego życia literackiego, ocenie dwudziestolecia międzywojennego. Sprawa ta znalazła wyraz przede wszystkim na forum Pierwszego Ogólnopolskiego Zjazdu Literatów w 1945 r., gdzie oskarżenia pod adresem literatury tamtych czasów wygłosili M. Jastrun, J. Kott oraz A. Polewka, który formułując najbardziej skrajną wypowiedź, stwierdził: „nasza miżerna literatura po śmierci Żeromskiego, nie przystoiła nam do niczego, był to okres literacki igraszek”.

Głównym przedmiotem ataku stała się proza, której zarzuca się skrajnie subiektywny obraz świata, przerosty w zakresie analizy psychologicznej lub biologicznej koncepcji człowieka. W ocenach dotyczących poezji zaznacza się zdecydowanie negatywny stosunek do poetyki ekspresjonizmu i neosymbolizmu w jego „katastroficznym” wydaniu, pewne lekceważenie poetyki „Skamandra”, uznanie dla J. Przybosa, otoczone jednak zastrzeżeniem, że jego osiągnięcia są niepowtarzalne. Zjawiskiem powszechnym było niedocenianie, w wypowiedziach na temat dwudziestolecia, poezji zarówno J. Tuwima, jak i W. Broniewskiego.

Natomiast niektóre elementy post-symbolizmu poezji francuskiej uznano za wartościowe i aktualne dla dalszego rozwoju kultury poetyckiej. Słabą stroną tej krytyki była jej skrajność, ogólnikowość i aluzyjność, a przy próbach interpretacji marksistowskiej — nie dość precyzyjne ujmowanie klasowego charakteru zjawisk literackich, które na ogół wiązano „genetycznie” tylko z sytuacją drobnomieszczaństwa lub inteligencji, pomijając ich funkcję w ogólnej strukturze społeczno-politycznej.

Znacznie więcej pisało przy tym o

literaturze obcej niż polskiej. Powierzchnowe i bardzo dyskusyjne studium Hoffmana o Brzozowskim było pozycją raczej odcosobnioną. Ankieta na temat dwudziestolecia rozpisana przez redakcję „Twórczości” w roku 1946 wywołała odzew przeważnie wśród apologetów tej literatury.

Główną kampanię przeciw tradycjom literatury chłopskiej, opartej o mit odrębności wsi oraz chłopski indywidualizm, przeprowadził tygodnik „Wiś” (głównie piórem J. Króla i A. Kamińskiego). „Wiś” wskazywała na próby wykorzystania kultury ludowej dla zacieraania klasowego rozwarstwienia wsi, dopatrując się w konwencjach literackich szkodliwych treści społecznych.

W czerwcu 1945 r. M. Jastrun w artykule „Poza rzeczywistością historyczną” („Kuznica”, nr 1) prorokował już bez wahań:

„Nowy styl, nie znany nam jeszcze, może tu i ówdzie zapoczątkowany, nowy realizm zwycięży z nieodpartą historyczną koniecznością...”

Miedzy innymi wypowiedzi M. Jastruna stanowiła punkt wyjścia do walki o realizm, podjętej przez grupę „Kuznicy” w latach 1945—1947.

W walce tej mieściła się z jednej strony — polemika z programowym antyrealizmem, jak i z pozorną akceptacją realizmu, która — zdaniem polemistów — wypaczała całkowicie jego sens. Z drugiej strony — był to ciągły, choć powolny i oporny proces krystalizacji postulatów literackich, które terminem realizm, użytym ogólnikowo, były raczej zamaskowane niż istotnie sprecyzowane. Tendencje jawne antyrealistyczne gawitowały najczęściej w stronę fideizmu albo też ograniczały się do wskazywania na metafizyczny jako centralny problem literatury.

Polemika na ten temat była prowadzona w „Kuznicy” i „Odrodzeniu”. Do szczególnie znamienitych należały wypowiedzi J. Andrzejewskiego, J. Przybosa, H. Voglera, J. Andrzejewski upominał, że „ani fabuła, ani sposób opisywania ludzi i zjawisk nie dają dostatecznych podstaw do zbyt pochopnego wyrocznia, a co nie jest...”. Przybós kwestionował sensowność nawoływania do realizmu w liście, jeśli miałyby on oznaczać ograniczenie wynalazczości w zakresie środków wyrazu.

Jeśli w wielu wypowiedziach pisarzy lewicowych obowiązek społeczny twórcy był określony tylko ogólnikowo, jako udział w odbudowie moralnej człowieka, to na Zjeździe Pisarzy w roku 1946 otrzymała ona wyraźną interpretację polityczną: „Walka ze złem — to walka ze złem w stosunkach między klasami i obowiązek moralny

pisarza polega na współdziałaniu w tej walce”.

Istotnym faktem w ówczesnym życiu kulturalnym było przemówienie Bolesława Bieruta na otwarciu radiostacji wrocławskiej dnia 16.XI.1947 r., w którym znalazła wyraz inspiratorska polityka partii wobec twórczości artystycznej w Polsce:

„Obowiązkiem twórcy kształtującego duchową dziedzinę życia narodu jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknoty i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym powinno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas”.

Krytyka nie zawsze potrafiła jednak przełożyć owe tezy polityczne na język specyficznych środków literackich, często ograniczała się do tropienia antyrealistycznych konwencji (w czym niektórzy publicyści wykazywali wiele ochoczości) i zawężała krąg tradycji literackich do dziełnastawianego realizmu krytycznego z pewnymi ułgami dla racjonalizmu XVIII stulecia. Na ogół krytyka ta była jednak sprawniejsza w swoich atakach, niż pochwały i wartościowych propozycjach pozytywnych.

Nie wystarczające kryteria oceny i obowiązek szczególnej pieczołowitości wobec słabych nawet zapowiedzi realizmu, chęć urzeczywistnienia własnych postulatów — wszystko to często prowadziło do przeceniania utworów, usiłujących postulatować owe realizm, kazalo dopatrywać się całkowitych spełnień tam, gdzie występowały one zaledwie w kształcie ułomnym lub jako częściowa tylko zapowiedź.

Jednocześnie krytyka ówczesna nie zawsze potrafiła z dostateczną troskliwością odnieść się do utworów takich, jak „Popiół i diament”, które po pioniersku podejmowały nową tematykę w okresie, gdy właśnie dokonano tego skoku tematycznego stanowiącego zadanie literatury. Zagadnienia stylu artystycznego były ignorowane przez krytyków w obawie przed posądzeniem i uleganie tendencjom formalistycznym.

Problem realizmu, który był głównym tematem ówczesnych dyskusji literackich, jest otwarty do dziś, zarówno bowiem jego zawężanie, dyskryminujące całe nurty wartościowej literatury, jak i rozszerzanie („realizm bez granic”), uniemożliwiające precyzyjne sądy nie można uznać za zadowolające w nowoczesnej krytyce literackiej.

ZBIGNIEW KWAŚNIEWSKI

TEATR JAK OBRABOWAĆ BANK

Komedia „Jak obrabować bank”, otrzymana w 1966 r. nagrodę Włoskiego Instytutu Dramatycznego. Jej autor — Samy Fayad jest mieszkańcem Neapolu, dostarczycielem szeregu komedii dla radia i telewizji a także dla „normalnego teatru”. Uszczuplenie zasobów banku jest jednym z częściej występujących tematów filmów gangsterskich. Samy Fayad przyznaje się, że pomysły napisania tej sztuki właśnie zrodziły się w wygaszonej sali kinowej. Zadanie obrabowania banku przekazał Fayad grupie neapolitańskich aktorów. Zna ich dokładnie wraz z ich wadami, specyficznym stylem bycia, ich kłopotami. Tak więc jedna z wartości budujących komizm tego utworu polega na sparodiowaniu Włochów.

Niestety, o ile tragedia jako gatunek dramatyczny trzyma się dzielnie w teatrze i nie jest tak zagrożona przez dziesiątą Muze, o tyle komedia jest ostatnio poważnie zagrożona przez film. Krótko mówiąc możliwości filmu w tym względzie są o wiele większe niż sceny. Istotną podporą komedii było zawsze dobre aktorstwo. Najwyraźniejszym tego przykładem jest gatunek dramatyczny zwany komedią dell'arte. W niej to jedynie zasadnicza treść utworu oraz skład występujących osób były stałe. Dialogi i sytuacje jakie one spowodowały były komponowane na żywo.

„Jak obrabować bank” nie ma prawie nic wspólnego z komedią dell'arte, ale każda komedia, stara się stworzyć szerokie pole do popisu aktorskiego. Czy zespół Teatru Powszechnego sprostał temu zadaniu? Ogólnie rzecz biorąc — tak. Szczegółowo podziwiam Jadwigę Andrzejewską. Jako wdowa Altavilla stworzyła ona postać sympatyczną, uroczą i niezwykle śmieszna. Zgodnie z założeniami autora jest nieco zddzienniała, cierpi na zanik pamięci, chętnie okazuje ból po stracie męża, a wszystko to czyni z niezwyklej wdziękiem. Przyznam się, że oglądając panią Andrzejewską zawsze doznaję tego wrażenia, iż wszystko co ona czyni, jest spod znaku ofiarnej pracy dla widza. Może warto porównać tę aktorkę w „Matce Courage” oraz w „Jak obrabować bank”, by uzyskać pełny obraz jej możliwości aktorskich.

Agostina Capece — ojca zwirowanej neapolitańskiej rodziny — gra Leon Niemczyk (wymyennie z Tadeuszem Szabram). Niemczyk kreuje postać parodiując wszystkie cechy włoskiego stylu bycia. Dużo gestykuluje, jest na włoski sposób niechlujny i stara się, jak czynią to w wrodzonym wdzikiem Włosi, mówić diabelnie szybko. Założenia, jak widać, jest słuszne. Jednak chociażby ta ostatnia umiejętność — szybkiego mówienia — wymaga rzetelnego opanowania tekstu. Niestety, w przedstawieniu, które oglądałem, Leon Niemczyk miał jeszcze kłopoty z tekstem. Jestem jednak pewien, że już w chwili obecnej (minęło 2 tygodnie), wada ta została usunięta. A ogólne ustawienie postaci — pod Al-

berto Sordii zapewni temu znanemu i cenionemu aktorowi niemałe powodzenie w tej sztuce.

Widzom zapewne spodoba się również dyrektor banku — gra go Janusz Kubicki. Paradoksalne wydarzenia, jakie mają miejsce na terenie banku, pozwalają Kubickiemu na zastosowanie szeregu gagów. W sumie jest to dyrektor z pogranicza amanto furiozo i dyrektora furiozo, co budzi szerokie reakcje widowni. Podobnie Czesław Przybyła, jako don Gaspare — dziadek owej rodziny — choć stonowany, miśrodkami aktorskimi, buduje postać interesującą i śmieszna. I tu drobna uwaga — autor komedii życzy sobie byśmy śmiali się z opadających spodni don Gaspare. A podaje to jako przykład środków, do jakich muszą się uciekać autorzy komedii, by wzbudzać w nas śmiech. Może w południowym klimacie i przy południowej werwie budzi to szersze reakcje. Śmielem jednak twierdzić, że nie należy tak bardzo wierzyć autorowi.

Druga scena, do której mam wątpliwości, to przeciąganie ciężarnej dziewczyny przez wąski otwór w podłodze, tzw. wyrubowywanie. Czy jednak trzeba wyrubowywać efekty i czy to jest takie śmieszne. Te sceny reżyser komedii — Jerzy Hoffmann mógł z pewnością w swej inscenizacji pominąć albo rozegrać o wiele cenniej.

O ile cieszę się tej komedii aktorzy, o tyle dużo jeszcze do życzenia pozostawia reżyseria. A najwyraźniej widać to w ustawieniu Tonina — Jerzy Szpunar. Tonino, jako glupkowaty synalek owej rodziny, śmieszny tylko przez kilka minut po wejściu na scenę. Potem usuwa się jakby w cień, gra na jednym tonie. Zawsze wyobrażam sobie, że reżyser oglądający ten spektakl jeszcze w stanie prób zobowiązuje jest pokazać aktorowi właściwe środki i sposoby modulacji postaci. Niestety, tak nie jest. Podobnie jak i z całym klimatem tej komedii. Hoffmannowi nie udało się zróżnicować i wypunktować najśmieszniejszych momentów i gdyby nie dobre aktorstwo, to komedia byłaby monotonna i nieciekawa. Może zabrakło kilku prób.

Matkę wspomnianej rodziny — Reginę Capece gra Halina Pawłowicz, Giulianę — ciężarną córkę — Hanna Molenda, urzędniczkę banku — Mieczysław Szargan, Mastellone — tajemniczego nieznajomego z rozmowy telefonicznej — Zbigniew Niewczas. W sumie w owej posusze na dobrą komedię, inscenizacji sztuki Samy Fayada, należy uznać za godną obejrzenia. Tak więc, w tym roku z jesienią wieczorów, jeśli nam naprawdę smutno, a chcielibyśmy się rozzerwać, radzę zażrzeć do „okienka” kasy Teatru Powszechnego, a komedie włoskiego autora obejrzyć, jak radzą słowa ostatnio modnej piosenki — „na luzie”.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

LISTY DO REDAKCJI
„WIELKA KLAPA”

Po imperialny remanent

Sensacja może służyć dla różnych celów. Jak w telewizyjnym serialu o Alu Capone watek sensacyjny służy, jak mi się zdaje, przede wszystkim do zrekamowania nielegalnej garstki bohaterów amerykańskiej policji, którzy zawsze stają w obronie najczystszych racji i niezawodnie odnoszą zwycięstwa, tak w książce Georga Honigsmanna „William Randolph Hearst, czyli dzieje pewnego skandalisty” (KiW 1974) sensacyjna narracja, bogata w nie znane polskiemu czytelnikowi szczegóły, służy jako kontekst i zarazem pretekst dla ukazania mechanizmów rządzących wielkonakładową, masową prasą w krajach kapitalistycznych. Tyle że tu „bohater” nie zawsze wygrywa, często zaś ponosi porażki, choć przynajmniej trzeba, że udawało mu się bardzo wiele, że dąsa przez liczne oszustwa zabójstwa, prowokacje i szantaże wzniósł się na szczyty machiny przemysłu prasowego.

Dzisiaj koncern Hearsta nie ma już tyle, co dawniej, co nie oznacza, by był nieczynny, pozostaje pod kuratelą wielkich banków, ale w 1971 r. dysponował wciąż jeszcze dziewięcioma dziennikami i dzie-

ścioma magazynami. U szczytu powodzenia Imperial Hearsta liczyło czterdzieści dwa dzienniki i osiem własnych rozgłośni radiowych, jednak już w 1937 r. pozostało mu „tylko” siedemnaście dzienników. Legendarny twórca koncernu, postać szeroko reklamowana przez amerykańskie środki przekazu, jak przystało na milionera był zbieraczem najrozsławniejszych dzieł sztuki, kupował nawet hiszpańskie klaszatory, które kazął przewozić do Oceanu Kłamię po kamieniu. W swoich „najlepszych” latach prowadził zaiste „wielką” politykę, by wspomnieć zaledwie kampanię przeciwrooseveltowską w okresie „New Deal” (i później, czynnie reklamując Hitlera na gruncie amerykańskim, które przypisywało mu nieco, bynajmniej nie za wiele kłopotów, no i oczywiście programowy, zaledwie antykomunizm i antysowieizm, najzacieklejszy bodaj wówczas, kiedy w połowie 1941 r. prezydent USA zadeklarował gotowość swego rządu do udzielenia Związkowi Radzieckiemu poparcia w jego walce przeciw naziści. Zaproszony przez Hitlera na zjazd NSDAP w Norimberdze stał się entuzjastą „führera”, w

którym upatrywał bastion przeciwko komunizmowi w Europie. Nie był w tych poglądach odcosobniony — biograf W.R. Hearsta John Toppel (1952) podkreśla, że wówczas podobnie myślały „wielkie koła Ameryki”, a i później takie poglądy wcale nie zaginęły. Reklamował hitlerowską „politykę pokoju” i „nowego ładu” w Europie w latach II Wojny Światowej, publicznie domagał się „ubezwłasnowolnienia prezydenta Roosevelta. Na łamach „In the News” dnia 14 kwietnia 1940 r. pisał:

„Przy obecnym wiadomym stanie umysłu mr. Roosevelta jest dlań rzeczą niebezpieczną, iż jest on upoważniony do wypowiadania wojny. Nie tylko ale wojno mu przynależą żadne dalsze prawa do decydowania o wojnie i pokoju, pogłębie lub upadku, życia lub śmierci narodu amerykańskiego, lecz należałoby odepchnąć mu te pełnomocnictwa, jakimi dysponuje”.

Nie trzeba objaśniać, co te słowa oznaczały wówczas, kiedy zostały napisane.

Hearst stworzył typ masowej prasy

adresowanej do najszerszego kręgu odbiorców, dostarczającej mu swoistej, reklamowanej czytelnikowej diety. We wskazówkach dla redakcji jednego z pism określił dokładnie, jaka ma być treść jego dzienników.

„Czytelnik jest zainteresowany przede wszystkim wydarzeniami, które zawierają elementy jego własnej prymitywnej natury. Należą do nich: 1. czynnik samozachowawczy; 2. miłość i rozmarzenie; 3. żądza i ambicja. Doniesienia, które zawierają jeden z tych elementów, są dobre. Jeśli zawierają dwa, są lepsze, jednakże te, które zawierają wszystkie trzy, stanowią materiał informacyjny „first class”.

Gazeta, zdaniem Hearsta powinna „za pomocą słowa i obrazu wywoływać takie wrażenia, jakie wywołują w człowieku eksplozje bomb, hałaśliwe kapale męczące, strzelające rakiety, rozpaczające szary, zmienne działo, krzykający z bólu ludzki, nagie śluzki, kłyszające się w tańcu i widok straceńca na krześle elektrycznym, nad którego zwłoki unosi się jeszcze zapach przypalonego mięsa”. Te i inne jeszcze, podobne reguły, stanowiły w dzisiejszym wydaniu dla redaktorów licznych „brukowych” dzienników i periodyków w świecie.

Czy jednak niemiecki autor, odwołujący się do mechanizmów rządzących prasą typu hearstowskiego — springerowskiego, nie przeholował widząc w sposobach jej redagowania same tylko złoty? Nie pretendując do tego, by być znawcą współczesnej prasy, ale jako nie potrafię wykrzesać z siebie dezaprobaty do choćby

takiego „wynalazku” heartowskiego pochodzenia, jak „dynamiczny sposób łamania” czy też zasady, że „wiersze tytułowe i nagłówki w różnych wielkościach (...) pełnią funkcję drogowskazów i mają prowadzić wzrok czytelnika ku tym miejscom gazety, które są najważniejsze z punktu widzenia redakcji”. Nie budzi mego odrzutu „technika najkrótszej story” ani maksyma samego Hearsta, że „zdjęcia wywołują coraz większe zainteresowanie — powinny one przyciągać oko czytelnika jak magnes”. Są to przecież reguły i zasady, które stara się stosować w swej pracy każdy dobry redaktor na świecie, którego bynajmniej nie obchodzi to, kto i dlaczego je wymyślił, ale to, do czego mogą się one przydać.

Jest przecież faktem, że prasa masowa typu hearstowskiego, aby mogła odnosić takie sukcesy, jakie zdobywała, musiała przyswoić sobie nowatorskie narzędzia techniki pracy, dzięki którym świat mógł realizować swoje cele. Techniki te mogły i powinny służyć innej sprawie do innych celów, oczywiście nie wszystkich spośród oświatowych „wynalazków” szefa koncernu i jego doradców. Ale te, które oznaczały rzeczywisty postęp ludzkości, by to, że obecnie nasza „Trybuna Ludu” jest łamana nowoczesnie, a więc przypomina sposób łamania, niektórych zachodnich pism o określonym obliczu, w czymkolwiek szkodliwej nośności, treści, upowszechnianych na łamach naszego czołowego dziennika.

LEKTOR

REKA MOJEJ SIOSTRY

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

Clochard nie lubi za dużo chodzić. Clochard lubi tkwić w bezruchu. Nawet w gorące paryskie popołudnie clochard ma na głowie czapkę, a na grzbiecie zimowy płaszcz. Największym utrapieniem clocharda są chybawy i pchły, w związku z którymi bez przerwy się wiska. Ale poza tym — wszystko w porządku. Leży na ławce albo siedzi na bruku: pomiędzy nogami butelka czerwonego, na skrawku gazety kostka sera i chleb. Nieraz ma na podłodze kuchenkę naftową oraz tekturowe pudło z zapasami bielizny i żywności. Uśmiecha się, drapie w szczeciniastą brodę: serdecznie pozdrawia turystów, chętnie pozuje do zdjęć i nie żywi urazy do tych, którzy mu za to nie płacą.

O clochardach często piszą paryskie bulwarówki. W piwnicy opuszczonego domu policja odkryła niedawno dwadzieścia butelek tajemniczej berbeluchy; dokonana przez bohaterów kiperów degustacja pozwoliła ustalić, że jest to koktail wujka M., czyli clochardzi carytas, składający się ze wszelkich możliwych trunków świata. Wśród clochardów znajduje się ponoć kilku ludzi w wyższym wykształceniu — psycholog, inżynier, aktor, zapoznany poeta, zbuntowany lekarz i tragicznie powikłany portrecista...

Clochardzi są bez wątpienia dużą atrakcją Paryża. Wprawdzie nie mogą równać się z muzeami, kościołami, magazynami i innymi, opiewanymi w tysiącach książek i gazet wspomnieniami STOLICY ŚWIATA — jednakże dla reportera, który parsię na co dzień sorawami tak zwanego marginesu, stanowią dobre wejście w temat.

2.

Obok dworca Austerlitz, w smudze cienia pod murami, kłęczy człowiek z kombatancką legitymacją w reku. Jest ślepecem. Na czarnej tabliczce wypisane kredą:

„Bracie, pomóż mi!
Walczylem o Twoją wolność”.

Przy bulwarze Saint Michel kordon gapiów otacza niechlujnie odzianą Greczynkę, która brzdąka na gitarze i śpiewa waltym głosem rozmaite protest-songi, nieopodal podobny, narodowy program prezentuje młoda Chilijka, wspomagana od przypadku do przypadku litosiowym groszem; rzepolący w pobliżu francuski harmonista i skrzypek o ascetycznej twarzy proroka, nie mają powodów do radości, gdyż dziewczyny ewidentnie odbierają im publikę.

Na placu Concorde, tuż obok Gallerii Impresjonistów, trzydziestoletni artysta szkicuje na zakurzonej chodniku głowę jakiegoś straszliwego potwora, a obok twórcy przycupnął sobie mały, nastrożony kotek. Artysta pracuje z kolosną pasją: dyszy, chrząka, posapuje, raz po raz sięga po inną farbę; nie żałując upartych rąk tonuje gołymi palcami barwy, u-

szlachetnia kontury, a kotek — niby puszczone luzem, lecz dzierżący na szyi pętlę z wlochatego sznura — patrzy na swego pana z łśnięcą miłością. Głowa potwora jest za każdym pociągnięciem pedzla wspinala: wydłużają się różowe, ośle uszy, pęcznie czerwony kulfon i... powstaje sugestywna karykatura pewnego zachodniemieckiego polityka. Brawo! Ludzie ciskają artyście trochę drobnych. Kot jak gdyby z lekka się odprężył, w dalszym ciągu nie spuszcza jednak psiego wzroku ze swego pana i władcy, który kazał mu siedzieć na kartonie o tresci:

Ja i mój kot bardzo się kochamy, ale nie można żyć samą miłością. Przechodni! Wspomóż naszą szczerą sztukę, spraw, abyśmy mieli dzisiaj na skromną kolację, bo jak nie, to najpierw kot, a potem ja zawisnę na tym samym sznurze.

Pod wieżą Eiffel'a, oparty plecami o słup, siedzi w kucki na ortallonowej pelerynce dwudziestokilkuletni mężczyzna w białej koszuli, krawacie i eleganckim, welnianym garniturze. Nie mówi, nie śpiewa, nie rysuje... Leży przed nim wycinek z jakiegoś czasopisma i ogromna płachta papieru, na której wykalgrował starannie historię swojej niedoli:

Nie znalazłem posady w rodzinnym mieście i przyjechałem do Paryża z dwustoma frankami w kieszeni. Przebywam tu już trzy tygodnie, szukam pracy w Biurze Pośrednic-

tw, ale nie przyniosło to rezultatu, ponieważ jestem kaleką społeczną, cierpię na chorobę Little'a (niedowład kurczowy kończyn dolnych), no i trafiam na bezdusznych urzędników.

Jeśli ktoś wie o jakimś odpowiednim dla mnie zajęciu, to proszę mnie powiadomić. Dziękuję również za doraźne wsparcie (na perynie leży parę franków — przyp. A. M.) Natomiast jeśli stoicie tu tylko po to, żeby mi się przyglądać, to szczeram na was! Odejdźcie!

Na Pigalle trafiam akurat na występ polykacza ognia. Jest to młody jeszcze człowiek, odpowiednio bezczelny, wygadany i zmanierowany jak większość naszych estradowych konferansjerów.

Mówi:
— Za chwilę będę walczył ze śmiercią. Zobaczycie numer jedyny w swoim rodzaju. Ale... odsuńcie się, odsuńcie! — przy pomocy asystenta, którym okazuje się Arab o nieczymnym obliczu, wypiera tłum poza zakreślony czerwona kredą, pokazny prostokąt.

— Ludzie, uważajcie na kieszenie! — wrzeszczy jakiś głos.

— Słusznie — replikuje polykacz ognia. — Uważajcie na kieszenie i rzućcie mi tu parę franków przed występem.

Padają parę franków.

— Tyle jest dla was warte moje życie? — zapytuje ze zgrozą polykacz.

Znowu parę franków.

Asystent o podłym wejściu zbiera bilon do miseczki i, kłaniając się nisko mistrzowi, zaczyna nekac po-

szczególnych widzów nachalnie wyciągając rękę:

— Pan jeszcze nie dał, pani nie ma chyba zamiaru przyglądać się za darmo?...
Znowu parę franków.

Asystent z tym samym, pokornym ukłonem wręcza miseczkę polykaczowi. Polykacz z pogardą wysypuje pieniądze do kieszeni. Robi znak krzyża, wyjmując za pazuchy flakon petroli i dwie dzienne szczoneczki, i nie zważając na krztającego się przy ognisku asystenta, rozpoczyna spiecz:

— Wstydyście się, bracia! Ja mam żonę i pięćro dzieci, i naprawdę nie mogę narażać życia dla tych wszawych kilku centimów. Albo zbierzcie jeszcze dziesięć franków, albo nie będzie przedstawienia!

Czuje, jak w tłumie narasta powoli chęć mordu. Ale franki znowu padają na bruk.

— Raz, dwa, trzy... — liczy głośno polykacz. — Dziesięć, dziesięć, jedenaście!

— Zaczynaj! — ryknął jakiś Murzyn.

— Nie mogę — odpowiedział spokojnie polykacz, unosząc do góry owinięte bandażami (niby tak bardzo poparzone) ręce. — Jestem przesadny. Zamiast dziesięciu padło jedenaście franków, więc — wysypuje dziesiątkę do kieszeni, a jedenastego franka zostawia na bruku — musicie dorzucić dziesięć franków do następnej dziesiątki...

Ktoś ciska na mistrza nadgryzionym jabłkiem. Ktoś inny go broni. Może naprawdę ma żonę i dzieci? Może naprawdę jest przesadny? Nigdy nie wiadomo, który z tych wszystkich ulicznych artystów: prestydylatorów, malarzy, piosenkarzy i żebraków — jest autentycznie nieszczęśliwym, a który hochsztaplerem. Tak czy owak tłum dorzuca polykaczowi dziesięć franków, ten zaś, czując, że cierpliwość i pieniężne rezerwy gapiów zostały do końca wyczerpane, pociąga z flakonem długi lyk benzyny i przychyla nim na płonące szczoneczki, wypuszczając z gęby serię metrowych ognia bengalskich.

Tłum nie kryje rozczarowania. Ja również się nie zachwyca, albowiem oglądałem już takie sztuczki — i to za darmo — w wykonaniu polskich pijaków, którzy zamiast benzyny dmuchali w zapalną oparą spirytusu.

3.

Pigalle zaczyna płońać o zmierzchu. Papuże światła reklam: porno-shopy, porno-kin, porno-kabarety, krypto-hotele, kurwy tkwiące nieruchomo na rogach z obnażoną mleczarnią, tabuny Arabów o zgłodniałych oczach, Japończycy, Chinole, obdarci a bogate dzieci Ameryki, spleceni w namietnym uścisku mężczyźni w mniłych spodniach i butach na wysokim koturnie oraz, zamiast policjantów, kierujący ruchem sutenerzy.

Notuję w pamięci kilka tytułów: Ostatnie tango w Paryżu, Emmanuel, Miłość bliźniaków, Reka mojej siostry, Demony, Wampiry, Diablice... Ciekawskie fragmenty tych programów pokazane są bez żenady na powiększonych zdjęciach i afiszach.

„Wejdź — nie pożaluj się!”

Wszedłem. Reżyser szybko prze do zwarcia. W chwili, kiedy zaczyna się to, od czego przychodzi na świat potomstwo, reżyser już się dużo nie napracuje, tylko „aktorzy”. Patat! Patat! Patat! Dziesięć minut, piętnaście. Nikt nie może powiedzieć, że został oszukany: pokazali mi wszystko — w parach, grupach i podgrupach, przy udziale kotów i psów.

W niektórych „żywych” spektaklach role kobiece powierza się tak zwanym

travestii: mężczyznom o pięknych, dziewczęcych twarzach, kształtnych i bezwłosych nogach oraz wydatnym, jędrnym, bynajmniej nie fałszywym biustem. Jak oni to robią? Ano, jakieś tajemnicze hormony, jakieś specjalne ćwiczenia... I szwenda się później po świecie taki babo-chłop z wielkim cycem i sinizną zarostu na buźce — ni to homoseksualista, ni hermafrodyta.

— Będziesz o tym pisał? — podpytuje mnie człowiek, który zna Paryż od podszewki.

— Nie wiem — mówię wykrętnie — o co chodzi.

— O Pigalle.

— Został już chyba dostatecznie opisany?

— Ale z wierzchołkiem...

I wprowadza mnie w arkana sprawy: w mieszczańskim, porządnym, schludnym, zamożnym i spokojnym Paryżu — mieście, w którym rzadko zobaczysz na ulicy pijaka, a jeszcze rzadziej jakąś awanturę, w którym młodzież nie używa wcale narkotyków, a dorośli są pogodni i życzliwi — Pigalle jest czymś w rodzaju pionierem, który rozładowuje wszelkie złe namiętności, instynkty pragnienia, oraz ścieku, do którego spływa warkim nurtem element przestępczy i wielonarodowościowa emigracja. Pigalle to plugawy Watykan Paryża — ma własne, niepisane prawa, w które niechętnie ingeruje policja, i własny budżet, który opiera się na nierządzie i pornografii, drenując kieszeń spragnionych przygody turystów. Mało kto wie, że we Francji od czterdziestego piątego roku prostytucja i burdel działają nielegalnie. Mało kto wie, ile nieszczęśliwie kryje się w tych zaułkach, bramach i pseudohotelach i jak bardzo zdemoralizowany jest los każdej z tych, czasami pięknych dziewcząt. Sutenerzy, instytucji rozwinięta, silna i działająca na zasadzie ceczu, stosują najczęściej tę samą, prostą i wyrobioną metodę: w chwili, kiedy dziewczyna w prowincji albo z emigracji zachodzi w ciążę, mówią: musisz rodzić, ożenie się z tobą; no i przychodzi na świat dziecko, a wraz z nim kupa obowiązków i wydatków, permanentna potrzeba pieniędzy, których nie zarobi przecież tatuś-analfabeta, zajmujący się od lat hazardem i szachrajstwem. Te pieniądze musi zarobić kobieta, rozliczając się co wieczór przed patronem z każdego centima. Ostro musi taka kobieta pracować, nie lenić się, nie wykreczać, nie chorować, nie kryć po kieszeniach zaskórniaków, bo sutener ma ciężką rękę; sam wydziera dole na palerossy i posiłki każdej ze swoich podopiecznych, bo niejednokrotnie ma ich przecież dwie albo i trzy.

STOP!
Mam chyba chorą duszę. Trapi mnie, że nawet w Paryżu, który wedle powszechnych przekonań jest najpiękniejszym miastem świata, potrafiłem się dokopać tylu rzeczy czarnych i smutnych. Dlaczego nie opisałem romantycznych wieczorów nad Sekwaną i tchnących spokojem uliczek Montparnasse? Dlaczego pominałem przedpłó Elizejskich i radosną wrzawę placu Du Tertre? A gdzie Ogród Luksemburski, Lasak Bufoński, Louvre, Katedra Notre Dame?... Jestem dłużnikiem Paryża i Francuzów, którzy na hasło „Polak” otwierali przede mną serca. Postaram się jakoś solnicę w kolejnych reportażach ten dług, tak aby oddać sprawiedliwość narodowi, z którym niejednokrotnie bratała nas Matka Historia w imię wspólnych interesów i świętych spraw.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

LISTY DO REDAKCJI

„PARTYZANCKIE BITWY”

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem szkice historyczne pisma Jana Powalę, opublikowane w 37 (87) numerze „Odgłosów” z dnia 12 września br. O krągła — 30 lat — rocznica dwu wielkich bitew, szczonej w września 1944 r. przez zgromadzenia sił partyzanckich Armii Ludowej, pod Gruszką i pod Ewiną z wojskami hitlerowskimi, wielokrotnie przewyższającymi nasze siły w ludziach i sprzęcie, legła z pewnością u podstaw chwalebego zamyśłu autora i redakcji „Odgłosów” — przypomnienia społeczeństwu o bohaterstwie zmaganiach z wrogiem.

Wszelako jednak wskazana przez autora szkice, zapewne b. młodego historyka, data bitwy pod Ewiną — 13 września — stanowi odkrycie historyczne. Wszystkie znane mi dokumenty i źródła, a jest ich nie mało, choćby wspomnieć prace: Bogdana Billebranda „Partyzantka na Kielecczyźnie 1933—1945”, Wyd. MON 1967; Ryszarda Narzewicza — „Nad górą Wartą i Pilińca” — Wyd. MON 1964; Tadeusza Czaplińskiego i Stanisława Mierzejewskiego — „Kalendarium Walk Gwardii Ludowej i Armii Ludowej w Łodzi i województwie łódzkim”, Łódź 1968, a także Bolesława Hanicza — „Boryta” — „Wspomnienia dowódcy III Brygady AL”, Wyd. Łódźskie 1973; podają jako datę bitwy pod Ewiną 12 września 1944 roku.

Tyle jeśli chodzi o chronologię.

Na marginesie pragnę dodać, że w Łodzi i województwie łódzkim i dzisiaj kilku (jeśli nie kilkunastu) uczestników obu bitew. Ciekawa inicjatywa byłoby ich spotkanie przy redakcyjnym stole. Wydrukowany szkic pisma Jana Powalę z pewnością sprawił im dużą radość a mógłby także stać się świetną okazją do wymiany poglądów i wspomnień uczestników walk — z autorem.

Bolesław Hanicz — Boryta, b.d-ca III Brygady mieszka w Częstochowie, Jerzy Stelak, b.d-ca II baonu III Brygady mieszka w Łodzi, podobnie jak b.d-ca komp. II Brygady Jan Pora — Rozłucki. Rozumiem, że w krótkim szkicu trudno zawrzeć bardziej szczegółowe informacje, warto jednak, moim zdaniem, przypomnieć, że zgromadzeniem oddziałów AL, które, gwoi ścisłości historycznej, nosiły już wówczas nazwy jednostek Wojska Polskiego, chociaż potocznie, dalej używano nazwy: Armia Ludowa, dowodził mjr Zygmunt — Henryk Polowinski, najstarszy wówczas stopniem d-ca I Brygady WP; jego zastępcą był kpt. Lokietek — Tadeusz Maj, d-ca II Brygady WP, zaś oficerem operacyjnym był kpt. Orkan — Tadeusz Lecki.

W celu przeprowadzenia natarcia na odczynając nas pierścień wojsk hitlerowskich w nocy z 29 na 30 września 1944 r. utworzony został baon szurmowy złożony z samych ochotników, którego trzon główny stanowili partyzanci II Brygady WP. Batalionem w zwycięskim natarciu na pozycje nieprzyjaciela dowodził właśnie znakomity żołnierz, kpt. Orkan.

Z perspektywy czasu pragnę postawić hipotezę, że kolejnym etapem bitwy pod Gruszką był bój, szczonej przez zgromadzenie oddziałów ludowej partyzantki w lasach Sikierni — Rataje, w szcze dni po bitwie w rejonie Gruszki, tj. 6 października 1944 r.

II Brygada WP w odbiciu od nieprzyjaciela natarła na pozycje w rejon Sikierni — Rataje nekana ostrzałem artyleryjskim i penetracją samolotów zwiadowczych nieprzyjaciela.

W w/w rejonie znajdowało się Dowództwo III Obwodu AL, z ówczesnym dowódcą obwodu ptk. Moczarzem na czele. Przybyli tam także: 1 komp. X Brygady, 1 1 3 baon oraz 1 komp. 2 baonu

I Brygady, XI Brygada, oddział im. B. Głowackiego oraz inne grupy polskiej i radzieckiej partyzantki.

Całością zgromadzenia w bitwie pod Sikierni — Ratajami dowodził ptk. Moczar, dowódcą III Obwodu AL.

Zgrupowanie zostało otoczone przez przeważające siły wroga. Toczył się zacięta walka o każdą pięć lasu, każdy dukt i przesłok. Pod d-twem kpt. Orkana, okaleczona znacznymi stratami w ciężkich bojach pod Gruszką i zniechęconą forsownymi marszami w odczynu od nieprzyjaciela, wyruszyła do śmiałego przełamania II Brygady AL. Hitlerowie zaskoczyli świetnie przemyślanym manewrem, brawurowym kontratakiem partyzantów rzucili się do bezładnej ucieczki. Prawie cztery kilometry ścigali ich „chłopy z lasu” siekające za nimi seriami ręcznej broni maszynowej, zdobywając porzucone przez hitlerowców sprzęt i broń.

Na zakończenie pragnę dodać, iż byłoby rzeczą kultury autorskiej, gdyby J. Powalę, chociaż źródła stanowią poważną własność, podał przynajmniej niektóre źródła, przynajmniej te, z których zaczerpnął co bardziej charakterystyczne stwierdzenia.

RYSZARD KLIMCZAK
b. z-ca szefa oddziału II Brygady AL

DROBIAZG! TO TYLKO EKSMISJA!

Uprzejmie informuję, że w związku z artykułem pt. „Drobiazg! To tylko eksmisja” zamieszczonym w nr 37 „Odgłosów” z dnia 4 lipca br. przeprowadzone postępowanie wyjaśniające, które nie wykazało naruszenia prawa przez organ przeprowadzający eksmisję Ob. Wandy Z.

Postępowanie w tej sprawie prowadzone było bowiem na podstawie obowiązujących w tym czasie przepisów prawa lokalowego z dnia 30.I. 1939 r., które w art. 60 ust. 2 uprawniano organ lokalowy do przymusowego przekwaterowania osób pozostających w lokalu zwalnanym przez głównego najemcę. Istotną w sprawie okolicznością było również zło-

żenie przez Ob. Jana Z. — ojca Ob. Wandy Z. pismem o zobowiązaniu do opłacenia dotychczas zajmowanego mieszkania z chwilą otrzymania mieszkania spółdzielczego.

W toku prowadzonego postępowania egzekucyjnego zwanego z opróżnieniem spornego lokalu organ lokalowy uwzględnił w miarę możliwości trudną sytuację żyłową Ob. Wandy Z. zawieszając, ze względu na jej stan zdrowia, czynności egzekucyjne, wszczęte w sierpniu 1973 r. Podjęto je w lutym 1974 r. wywołując Ob. Wandę Z., pismem z dnia 23.III. 1974 r. do opróżnienia mieszkania do dnia 15 marca br. z zagrożeniem przymusowego przekwaterowania do pomieszczenia zastępczego w dniu 21.III. 1974 r.

Wobec bezskutecznego upływu w/w terminu w oznaczonym dniu wykonano eksmisję, a meble czasowo (w dniu 30.III. br. Ob. Wanda Z. jest odebrana) zmagazynowano w składnicy Urzędu Miejskiego w Sieradzu. Zastosowanie w omawianym przypadku przymusu i odmowa dalszego zawieszenia — do roku 1976 — postępowania egzekucyjnego w stosunku do Ob. Wandy Z. spowodowane było trudną sytuacją mieszkaniową na terenie Sieradza i pilną koniecznością zapewnienia mieszkań zastępczych dla rodzin wykwaterowanych z budynków wyburzanych na cele inwestycyjne. Sporne pomieszczenie bowiem jeszcze przed opróżnieniem go przez Ob. Wandę Z. zostało przydzielone jednemu z takich rodzin i zasiedlone niezwłocznie po wykonaniu eksmisji. Zasiedlono również pomieszczenie zastępcze przy ul. Warkielej 1 proponowane uprzednio Ob. Wandzie Z.

Ob. Wanda Z. mieszka obecnie wspólnie z rodzicami i bratem (odbywa służbę wojskową) w lokalu spółdzielczym typu M-4, odpowiadającym normom załudnienia przysługującym zamieszkałym w nim osobom. Należy przy tym dodać, że Ob. Jan Z. jest wprawdzie zarejestrowany w przwchodni przeciwgruźliczej jednak nie legitymuje się ożrezeniem lekarskim uprawniającym do dodatkowej powierzchni mieszkalnej (takie orzeczenia wydawane są w cięż-

szych przypadkach choroby, zagrażających życiu).

Opisana w artykule sprawa miałaby niewątpliwie inny przebieg, gdyby zaistniała po dniu 1 sierpnia br. tj. po wejściu w życie nowego prawa lokalowego, względnie nawet po dniu 17 kwietnia 1974 r., w którym prawo lokalowe zostało opublikowane, gdyż jak podkreśla to również autor artykułu, nowe przepisy stwarzają znacznie szersze możliwości przydzielania mieszkań osobom pozostającym w mieszkaniach po opuszczeniu ich przez najemcę.

W obecnym jednak stanie sprawy, wobec zasiedlenia spornego mieszkania, przywrócenie stanu pierwotnego jest już praktycznie niemożliwe, a Ob. Wanda Z. może czynić ewentualne starania o uzyskanie samodzielnego mieszkania na zasadach ogólnych, zgodnie z obowiązującymi w tym zakresie przepisami prawnymi.

Z upoważnienia Wojewody mgr EUGENIUSZ SOKOŁOWSKI
z-ca Dyrektora Wydziału

NAGI FAKT

Jestem w rozterce. Przeczytałem ostatnio książkę Bohdana Arcta pt. „Powietrze pełne śmiechu” i prawie jednocześnie felieton p. Jerzego Wilmańskiego w „Odgłosach” nr 17 pt. „Nagi fakt”. Komu mam wierzyć? Czy panu Wilmańskiemu który wydedukował, że książkę pt. „Obyś żył w ciekawych czasach” napisał Zygmunt Wasilewski, czy panu B. Arctowi, który na stronie 68 cytowanej książki dyskretnie odwołuje się do „naga galopada” była wczynnem majora Zygmunta Wasilewskiego, i tak też jest mierzony jest w biografii na str. 98 jako autor książki „Obyś żył w ciekawych czasach”.

Z. PANCIENKO
(Łódź)

Od redakcji:

Ma pani rację. Oczywiście chodzi o Zygmunta Wasilewskiego. Lapsus ten wynika z podobieństwa nazwisk i — wstyd powiedzieć — z nieuwagi przy adre-

FELIKS BĄBOL

17 DNI WRZEŚNIA

Kopaliśmy w Panigródzie umocnienia przeciwczołgowe, stanowiska ziemne dla piechoty, czyli dla siebie. Rowy strzeleckie rozciągaliśmy wtedy na długość batalionu — w niewielkim oddaleniu od zabudowań dworskich. Kopiąc — patrzyliśmy ciągle na zachód, skąd miało nadejść zaskoczenie. Tak zresztą mówili dowódcy na odprawach. Podchorążowie łowickiej „dziesiątki”, czyli 10 pp, objęli w tym czasie dowództwa drużyn i plutonów i dobrze żyli ze starszą szarżą — tą z rezerwy zwłaszcza. Po całodziennym trudzie jednak zostawało nieco czasu na pójście do wielkiej karczmy, gdzie był bilard amerykański. Właśnie w tej karczmie wygrałem kiedyś od kpt. Dobrzańskiego kilkudniowy urlop w końcu sierpnia.

— Trafila ci się gratka — mówił, podpisując kartę urlopową do Łodzi.

Przybyłem więc do swego rodzinnego miasta, aby zacząć ostatnich dni przed burzą. Burza? To myślenie, żołnierze urlopowani w sierpniu, przyniesli z sobą do Łodzi przedsmak wydarzeń. W mieście bowiem nikt o wojnie nie myślał.

— Wojny nie będzie — mawiał ojciec. Był głęboko przekonany, że na nie się nie zanosi. Zresztą w mieście tylko raz na parę dni jakaś gazeta donosiła, że ktoś dał coś na Fundusz Obrony Narodowej, że rozpoczęła się zbiórka na prezent Łodzi dla wojska, czyżby na działo arcydzielnicze. Poza tym — wszystko szło swoim nurtem. W „Tabarinie” przy Narutowicza fordanserki po staremu polowały na kupców, kamieniczników i synalników fabrykanckich, w „Tivoli” — węgierska para taneczna produkowała się w tangu „Bolero”, po staremu w niedzielę ciągnęły majówki na Manię i na Młynek, a szkoły ogłaszały zapisy na nowy rok szkolny 39/40. Mój ojciec przeżył wojnę japońsko-rosyjską, przeżył pierwszą wojnę światową — obca mu więc była jakakolwiek inna, trzecia już w jego życiu wojna. Upewniał mnie więc, że wojny nie będzie...

W Panigródzie przez te kilka dni niewiele się zmieniło. Nasze fortyfikacje pochłonięte tylko nowe dziesiątki metrów sześciennych drewna, tylko Ludwik Benoit, z którym dzieliłem kwatery nad wiejskim sklepikiem, skarżył się, że kończy nam się lektura Sherlocka Holmesa, w którym rozszyfrowaliśmy się całymi wieczorami do późna w noc. Ludwik ani myślał jeszcze o tym, że przeżyje nadejście wydarzeń, że będzie potem swe życie z teatrem i aktorstwem. W owych dniach tuż przed wrześniem dokonaliśmy tylko jednego odkrycia — właściciel majątku, okazało się Niemiec z pochodzenia, czynił nań którejś nocy, zostawiając w „salonie” znaną mi wizytówkę: szeroko rozpostartą płachtę ze swastyką.

Godziny stawały się coraz bardziej nerwowe, coraz bardziej wypełnione wyczekiwaniem. Wreszcie rozdano nam ostrą amunicję. Było to w przeddzień wybuchu. Już nazajutrz stali-

śmy się niemyi świadkami wydarzeń w powietrzu. Nad nami przelatywały eskadry niemieckich samolotów, ciągnąc na wschód, polyskując w jaskrawym słońcu blachą swych kadłubów, wypełniając serca niepokojem. — Dokąd teraz lecą? Gdzie zrzucą swój balast? Ciężkie, stłumione były odgłosy samolotów, wiozący ładunki śmierci i zniszczenia. Obserwowaliśmy to wszystko, czekając na rozkazy. Oczekiwanie wypełniał rozmowami z kolegami i szarżą. Przerywało je nadlatywanie samolotów. W takich chwilach chowaliśmy się w cień wysokich stogów ze zbożem, by nie stwarzać celu dla lotników Luftwaffe albo kryliśmy się w strzeleckich rowach. Doczekaliśmy wreszcie alarmu.

Alarm nastąpił w nocy z 3 na 4 września. W ciągu 15 minut batalion był gotów do wymarszu. Jeszcze na chwilę tylko skoczyliśmy na przedpole, aby ściągnąć czapę i płacówki. Poszliśmy z kpt. Dobrzańskim do wsi kolonistów. Była już ewakuowana. Droga ciągnęła karawany wozów chłopskich. W lunach pożarów wznieconych w pasie przegranicznym niesamowitym blaskiem polyskiwały oczy przerażonych ludzi. Światło kładło się na obrazach świętych kurczaków zaciśniętych w dłoniach staruszek, które wysoko, wśród dębów powieszonych na wozach, strzeliły tych resztek, komód, balii, pierzyn i szaf. Psy tylko wytracały wszystko z martwości i przerażenia — obiednie obiegaly taboru, milczące były te psy i jakby już niczyje. Mineliśmy dzwiny rwącą sobie włosy z głów mineliśmy jakiegoś urzędnika z gminy, nawołującego o porządek i ciszę, bo — mówił — Niemcy blisko.

W najbliższej chwili zastaliśmy tylko dwie kury pod łóżkiem. Ewakuacja nastąpiła przed chwilą, ludzie zrywali się ze snu, załadowali na wóz, co im wpadło do ręki i popędzili ewakuacyjnym szlakiem. Na półce pod oknem natrafiliśmy na jakąś książkę. Otwarta była akurat w miejscu, gdzie słowa zabrzmiły niezmiennie prosto: nie z tego świata: „Błogosławiony dzień, w którym spotyka cię tyle szczęścia...”

Z obu stron od owej nocy począwszy mieliśmy dwie zmotoryzowane czołwki niemieckie. Wyrwały się w polską ziemię, na północ i na południe od naszych kolumn — nie mieliśmy więc ani godziny do stracenia. Szliśmy na Inowrocław. Szliśmy po 60 km na dobę, wiedzeni odłaskami płonących wsi i miasteczek sypialni po parę minut w rowach przydrożnych, budziliśmy się nieraz za późno, więc dopędzaliśmy kolumnę, nieraz gubiliśmy helmy i łopatki saperskie, często — jako drużynowi czy dowódcy plutonów, których na etapie wołano na odprawy — nie mieliśmy czasu na przewinięcie onuc na obrzmiałych stopach. Żołnierze dopadali w opustoszałych domach i sklepach tego, co zostało. Szukali czegoś do jedzenia i picia — od owej nocy z 3 na 4 września przecieżył kuchni polowej już nie widzieliśmy. Wiele przez szereg dni wojsko odżywiało się jajkami z opuszczonych kurników i koniakiem z opuszczonych sklepów. Na jakiejś drodze wiejskiej we wsi, gdzie już nie było żywej duszy, znalazłem w pyle autentycznego dolara. Ten dolar potem — w obozie jeńców — wybrałem na kilka dni palacza z udręki, bo pierwszy napotkany wachman natychmiast zamienił dolara na paczkę parufeniowych papierosów Tonga.

Najgorsze w czasie odwrotu na Inowrocław były wypadki dywersantów niemieckich. Szli trop w trop wzdłuż naszej kolumny marszowej, kryli się po lasach z palcami na spustach automatów, czatowali. Raz po raz częstowali nas serią. Padali ranni i zabici. Kolumna przystawała patrolować zwiadowców wysłukiwały z lasu błądzących ludzi, bosych, zaciętych i niemych. Tylko w ich oczach czaił się jakiś stygmat obłąkanego zaciężnika.

Inowrocław, Przedecz, Chodecz — dziewięć dni spędziliśmy wśród potwornego zmęczenia, w którym naddotkliwiej kłuło nas ranne słońce, ostre jak żyletki promienie tnące nasze żrenice, ten blask, a nie głód, nie niewyspanie dawały się nam najbardziej we znaki. Podchodziliśmy pod Łowicz od strony Kompiny, gdzie miał się rozegrać jeden z ostatnich aktów kampanii.

Do Kompiny przybyliśmy w nocy z 12 na 13 września. Rozlokowaliśmy się po rowach wzdłuż autostrady warszawskiej i czekaliśmy świtu. O świcie miało nastąpić pierwsze nasze natarcie na niemieckie pozycje z drugiej strony Bzury. Niemcy przyszli tu wcześniej przed nami, mieliśmy więc dużo gorszą sytuację od nich. Umocnili się na pozycjach, a ogień swej broni maszynowej skierowali na każdą lukę między chałupami, na każdą ścieżynę wiodącą przez wieś. Przede wszystkim zrabali swą artylerię wieżę kościoła w Kompinie — byśmy nie mieli miejsca dla obserwatorów, najpierw walił w rzekę, by nam się



Fot. Archiwum

odechciało forsować ją w dzień. Ale nasz pierwszy atak przeszedł właśnie przez Bzurę.

Dotarliśmy 13 do jej przeciwnego brzegu, nie wszyscy, może co piętnasty, dwudziesty, reszta nie dotarła do brzegu, więc natarcie zalało się. Ci, których nie skosiła broń maszynowa w drodze wpław przez rzekę, których nie rozniosły pociski rozrywające wodę i tych, którzy się w niej znaleźli — ci wracali do rowu przy szosie. W drodze powrotnej, w kartofisku ranni chwytali za nogi, prosząc, aby ich nie zostawiać na polu. Sanitariusze znosili ich na tyły, ale nie zabrali wszystkich, bo jeszcze następnego dnia — w czasie kolejnego natarcia — widzieliśmy rannych dnia poprzedniego. Byli już u kresu sił owego dnia, gdyśmy nacierali po raz drugi. Ale ani to drugie, ani trzecie natarcie niewiele zmieniło. Nie udało się nam wyprzeć Niemców z drugiego brzegu rzeki, tylko wzięli dowódcę, znacznie później, twierdzili, że właśnie dzięki nam, mimo tych niepowodzeń i tylu śmierci, opóźnił się pochód wroga na stolice. Myśmy pod Kompiną tego sukcesu nie czuli.

Ostatnie natarcie odbywało się w jeszcze bardziej dramatycznych okolicznościach. Naszego pułku właściwie już nie było, nie było dowódcy batalionu, zabrakło wielu innych dowódców, drużynowi stawali się dowódcami plutonów, sierżanci dowodzili kompaniami. Łowicka „dziesiątka” była rozbita. I właśnie owego ranka, 16 września, spotkałem tuż przy szosie na Warszawę, a jeszcze w rejonie Kompiny, kolegę z Chojen. Podporucznik Laube. Był zawodowcem, spłynął tu, pod Łowicz wraz ze swym

pomorskim pułkiem. Na mundurze były ślady krwi, w oczach nie ludzkie zmęczenie, ale i on i kilka tysięcy ludzi w mundurach, przyszedł tu nie po to, aby to pokazywać. Jego pułk miał dalej powstrzymać napór Wehrmachtu, bo „dziesiątka” albo już oficjalnie nie istniała, albo miała iść do odwodu.

Po polach szły luźne grupy żołnierzy, szły nie wiadomo dokąd z kompanii widziało się tylko jednostki, ze sprzętu — tylko porozbijane działka, porzucone i zniszczone wozy taborowe. Wiele major z owego pomorskiego pułku napędzał do przodu kogo tylko spotkał. Ale i to natarcie nie dało pożądanego efektu. Laube nie zginął wtedy pod Kompiną, tak jak Bronek — wybitny matematyk, jak Jurek — najlepszy z kolegów w skierniwickiej podchorążówce. Laube spotkała śmierć znacznie później — w Łodzi.

Mieliśmy w sercach ból straszliwych, daremnych wysiłków, dramat narodu wpłynął wtedy do każdego z nas z osobna. Chociaż jeszcze 16, jeszcze 17 września nie dawaliśmy za wygraną. Nie zaliśmy się na strategii na wysokim szczeblu dowodzenia, dlatego tym więcej wiary dawaliśmy pogłoskom.

— Niech tylko zjawi się tu gen. Bortnowski — mawiali żołnierze — to im pokażemy.

Ale 17 dostaliśmy się już do niewoli. Kilka dni później — w Hansdorfie, gdzie był wielki zbiorczy obóz przejściowy — spotkaliśmy wszystkich, od szeregowców do generałów.

ZESZYT PEŁEN HUMORU

„Przekrój” i „Kobieta i życie” niezmiennie od wielu już lat publikują perełki mimowolnego humoru milusińskich i nastolatków. Czytamy więc, że dawniej „dzieci były ubogie, porwane i pocerowane”, albo, że „żona myśliwego urodziła na polanie dwie parki bliźniąt”.

Tak zwany humor w krótkich spodenkach bawi nas, ponieważ wiemy, że zrodził się spontanicznie, że nie wymyślono go dla „wicu”, lecz jest efektem określonych obserwacji.

Prezentujemy poniżej autentyczne wypracowanie szkolne, co do którego nie jesteśmy pewni czy jego humor nie był świadomym zamysłem młodego autora. Może tak, może nie... W każdym razie uwaga nauczycielki brzmi: „Jeśli potraktować serio, to co napisałeś, to stopień byłby poniżej niedostatecznego. Jeśli natomiast miał być to żart, to trzeba przyznać, że udał ci się znakomicie. Nie mogę jednak wystawiać oceny z polskiego za poczucie humoru”.

W każdym razie nauczycielka notę bardzo dobrą z poczucia humoru uzyskała, traktując to zabawne wypracowanie sympatycznie i bez sankcji. A oto ów tekst zatytułowany: „Czego dowiedzieliśmy się o Janie Kochanowskim z książki J. Porazińskiej „Kto mi dał skrzydła”.

„Jan Kochanowski urodził się w Sycynie. Jako ojciec zamożnego szlachcica. Od dzieciństwa marzył o ciszy, więc ożenił się z Dorotą Podlowską. W założeniu rodziny pomagali mu sąsiedzi. Rzeczy przyjemne spędzał wieczorem, a rzeczy pożyteczne od rana do południa. W swym postępowaniu był bardzo zdecydowany. Złe rzeczy odrzucał na

lewo, dobre na prawo, a sam szedł prosto. Sporo czasu zajmowały mu sprawy główne i rodzinne. W wolnych chwilach pisał wspaniałe wiersze, które doskonałość zawdzięczał temu, że były pisane na świeżym powietrzu, pod dębem zwanym lipą. Często siedział również na lipie. Wiersze, a potem utwory zyskiwały wielką sławę. Analizując dorobek literacki poety widzimy, że każde jego słowo rymuje się z sobą, chociaż nieobcy mu był rym biały, czyli bezrymowany. W twórczości swojej poeta pokazał przede wszystkim język polski, mimo, że posiadał doskonałą znajomość greki starożytności. Uprawiał głównie lirykę, ale nieobce mu było uprawianie roli. Wielki Wieszcz oprócz posiadania również córki Urszulkę. Należy jednak podkreślić, że ojciec Kochanowskiego miał aż jedenaścioro dzieci. Urszulka była dzieckiem utalentowanym. Fach dziedziczyła po ojcu. Nie zdążyła jednak wyspecjalizować się, stojąc pod drzewem pociągnęła zapach lipy, której ojciec zrobił reklamę. Prawdopodobnie na tle uczuleniowym, zapadła na ciężką chorobę, po trzech dniach leczenia bez przytomności pokryła się śmiertelną powłoką, zostawiając rodziców. Ojciec spożywał ciężkie bóle po stracie córki. Nie wiedząc co ma robić, napisał treny, w których rozpaczal i poruszał Urszulkę od kolebki do śmierci. W trenie VIII wyraża swój ból, w trzech częściach.

Twórczość Kochanowskiego, tzw. Jana z Czarnolasu charakteryzuje również ogromne zaangażowanie społeczne, o czym świadczy fakt, że we fraszkach „Na lipę” troszczy się o odpoczynek dla ludzi zmęczonych po pracy. Z życia wyciągnął renesans, jak żył, to był wesóły, innych zachęcał do relaksu, ale o siebie nie dbał. Zdyszany życiem skonał mając zaledwie 54 lata. Zostawił w wielkiej boleści: żonę, treny, fraszki i pieśni”.



Fot. Włodzisław Parys

MAKSIM TANK

BRZĘKNĘŁA KLAMKA

Brzęknęła klamka, poznawszy mój dotyk.
Drzwi, jak ręce, do bólu znajome,
Ojcowska chata otworzyła milczącą.
Pewnie ogłuchłej od gromów życiowych —
Moje „Dzień dobry!” wydało się dzwonem,
Co jej przypomniał zaduszki, gdy ludzie
Rankiem — orzą, dniem — płaczą na cmentarzu,
Wieczorem — tańczą, wróciwszy do domu.

Lyżka zastygła nad miską zacierki.
Gdzieś przekrzykują się dwie kukulki:
Ta pierwsza — liczy minione lata,
A druga — skąpa — odlicza resztę.

Stróż bezsenności legł na mym progu
I nie dopuszcza snu ani drzemki.
Nie nie pomogło, że chleb swój mu dałem
I nie dopity dzbanuszek kwasu.

Oczy zakrywam, patrząc na kacię
Tych, co przeżyli swój wiek i nie wróciła.
Tylko ich głos wciąż tu do mnie dociera.
I jakżeż mam zasnąć, gdy tam w kacie chaty
I ława, i piec do biesiady się wprasza.
Chcę wiedzieć: gdzie moje nogi brodziły,
Z kim przyjaźniły się moje ręce,
Co ciekawego widziały me oczy
I jaki ciężar przysparzał mi plecy.
Noc komarowa szybko przemija.
Szyby się łzawią rosą przedświutu.
Ledwie je przetrzeć — znów pełno kropił,
Tak jak na oczach.

12. 5. 1971.

Przełożył: Igor Sikirycki

OBMYWANIE BABKI ULIANY

Wszyscy ją żalowali
Jak żalują każdego,
Kto wyniańczył dzieci,
Ich pracę, przyszłość, chleb.

I może wszystko odbyłoby się spokojnie,
Ale przed ostatnią drogą
W żaden sposób nie mogli domyć jej rąk
Popękanych od skib ziemi,
Od kłosów i słońca,
Od pieluszek i onuc,
Od czarnych i rozpalonych garnków
Z barszczem, z ziemniakami,
Które ponad pół setki lat
Wsłuchiwała i wyłączała z pieca.

Patrzają wszyscy na te ręce
Ogorzale, posiekane
I zanoszą się od płaczu:
Bo jakże z takimi rękami
Pukać do bram
Raju!

14. 7. 1967.

Przełożył: Igor Sikirycki

IGOR SIKIRYCKI

PAMIĘTNIK LIRYCZNY MAKSIMA TANKA

Twórczość Maksima Tanka stanowi wybitne zjawisko na firmamencie białoruskiej, a także ogólnoradzieckiej literatury. Polskiemu czytelnikowi jest ona znana z dość licznych przekładów publikowanych od wielu lat w naszej prasie literackiej. Trzeba też wspomnieć o skromnym co prawda wyborze pod redakcją Bogdana Żyranika „Na szlaku dzikich gęsi”, który ukazał się nakładem PIW, a także o antologii pt. „Wiersze białoruskie” w opracowaniu Jana Huszczy, gdzie utwory Tanka znalazły poczesne miejsce.

Niemniej te rozrzucone przekłady nie oddają i z natury rzeczy oddać nie mogą, całej skali talentu autora „Korespondencji z ziemią”, bogactwa problemowego i artystycznego jego utworów. Nie wychodzą też w pełni naprzeciw niewątpliwemu zainteresowaniu polskiego czytelnika, świadomego faktu, że Tank nie od dziś jest silnie związany uczuciowo z naszym krajem i bardzo wiele czynił dla upowszechnienia polskiej literatury w swojej ojczyźnie nad Szczarą i Świsłoczą. Wypada więc pochwalić inicjatywę Wydawnictwa Łódzkiego, które już w roku bieżącym zaprezentuje czytelnikom obszerny wybór bogatego dorobku Maksima Tanka, poety notabene tłumaczonego na polski jeszcze w latach trzydziestych.

Interesowali się naówczas tym ambitnym, niezwykle utalentowanym synem chłopca białoruskiego młodzi poeci wileńscy spod znaku Żagarów, a także pisarze z lewicy literackiej Warszawy, dokąd początkujący poeta został zaproszony na kilka spotkań autorskich.

Maksim Tank, którego właściwe nazwisko brzmi Jauhien Skórko, urodził się w roku 1912, tuż koło jeziora Narocz, we wsi Pilkauszczyzna w powiecie Mołodeczno. Po ukończeniu szkoły powszechnej opuścił rodzinne strony i wstąpił do gimnazjum białoruskiego w Wilnie. Nie dane mu było jednak skończyć tej szkoły, ponieważ za udział w strajku został z niej wydalony. Jest rzeczą oczywistą, że zdarzenie to musiało w konsekwencji doprowadzić do konfliktu z miejscowymi władzami. Ale poeta nie działał już w tym czasie w samostanowieniu. W roku 1927 wstąpił do Komunistów i pełnił w nim przez szereg lat odpowiedzialne funkcje. Początki twórczości Tanka przypadają na rok 1930 — tę bowiem datę odnajdujemy pod najwcześniejszymi wierszami w jego debiutanckim tomiku „Na etapach” wydanym w 1936 roku i — natychmiast skonfiskowanym.

Skazany w 1933 roku na więzienie, Maksim Tank napisał tam szereg wierszy, na których nastroju odbija

się wyraźnie cięż żelaznej kraty. Znamienne jednak, że nawet w tych wierszach nie pojawiają się ani akcenty antypolskie, ani z drugiej strony nuta zwątpienia czy kapitulanta.

Po „Etapach” ukazują się następne tomiki Tanka: „Kwiat żorawinowy”, „Poemat Narocz” (również skonfiskowany), poemat liryczny „Kostus Kallinowski” i „Pod masłem”. Wszystkie te utwory wydane zostały w Wilnie.

Tak oto rozpoczął się szlak poetycki Maksima Tanka, którego dorobek obejmuje dziś wiele tomów, tworzących, zwłaszcza od drugiej połowy lat pięćdziesiątych, swoisty i niepowtarzalny pamiętnik liryczny poruszający czytelnika bogactwem doznań, intymną szczerością i bezpośredniością, mistrzostwem w przekazywaniu najsubtelniejszych, najtrudniejszych, zdawałoby się, do wyrażenia uczuć, wreszcie rzadką umiejętnością równie swobodnego posługiwania się kilkoma odrębnymi poetykami, z których każda jest jego własną; poza tym — nie bagatela — zdumiewającą świeżością i oryginalnością obrazowania.

Bogata i bardzo zróżnicowana jest tematyka wierszy Tanka. Wprawdzie poeta najczęściej — i słusznie — pochyla się nad krajobrazem, teraźniejszością i dramatyczną przeszłością, szczególnie krwawo nawiedzoną przez ostatnią wojnę ojczyzny białoruskiej, ale nie mniej ważnym, obsesyjnym niemal, obszarem jego penetracji jako poety refleksyjnego jest dramatyzm uwarunkowań biologicznych i historycznych losu ludzkiego w ogólności.

Pochyla się również — krytycznie, lecz bez uprzedzeń — nad wartościami humanistycznymi, tkwiącymi w innych historycznych i współczesnych światopoglądach, kulturach, sztuce — zwłaszcza antycznej i renesansowej, a także w skarbach literatury innych narodów. W ogładzie tym szczególnie dużo miejsca zajmuje przeszłość kulturalna, współczesność i literatura polska, której jest niemalym znawcą i zasłużonym tłumaczem.

Tank m. in. przełożył na swój ojczysty język kilka ksiąg „Pana Tadeusza”, „Sonety krymskie”, „W Szwajcarii”. Słowackiego, szereg wierszy Staffa, Tuwima, Broniewskiego, Lechonia, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i wielu innych.

Od 1940 roku Tank opublikował kolejno tomy: „Przez ognisty nieboskłon”, „Januk Sjaliba”, „Żeby wiedzieli” (nagrada państwowa ZSRR), „Na kamieniu, żelazie i złocie”, „W drodze”, „Ślad błyskawicy”, „Mój chleb powszedni”, „Łyk wody”, „Korespondencja z ziemią”, „Klucz żura-

LITERATURA



wi” i „Niech będzie światło”. Ponadto wydał niezmiennie interesujący — również i dla polskich badaczy życia politycznego i literatury międzywojennej w naszym kraju — swój pamiętnik z młodości poetyckiej — „Kartki z kalendarza”.

Tank jest również autorem szeregu utworów dla dzieci. Niezmiennie bogata osobowość twórcy, poety i świetny warsztat pozwalają mu z równą swobodą wypowiadać świat wzmruszeń czysto lirycznych, a także wzbogacać wiersz elementami cienkiej ironii i ciepłego, dobrodusznego humoru. Ten specyficzny humor — bardzo często natchniony przez poetykę białoruskiego folkloru — przędzie wielu utworom Tanka szczególnego koloru i oryginalności.

I choć w utworach, zwłaszcza z ostatniego okresu twórczości poety, zjawiały się nowe rytmy i nowe brzmienia, często zdecydowanie różnie od tradycyjnych rytmów sylabotonicznych, to jednak tonacja wywodząca się z nurtu pieśni ludowej nadal dominuje w tym lirycznym zapisie. Pieśń jest bowiem źródłem, wzorcem metrycznym i miarą ostateczną niepowtarzalnej poetyki Maksima Tanka. Bo oto takie poetyckie credo, jakby pointując całą jego twórczość znajduje się w ostatnich strofach zbioru „Niech będzie światło”:

— Usta spale, całując ciebie,
Oczy wysuszę, wpatrując się w słońce,
Palce rąk zwęglę do kości,
Walcę fundament dni przyszłych,
A głos swój przeleję w dźwięk pieśni.

Poeta, laureat wielu poważnych nagród literackich, jest także wybitnym działaczem społecznym i politycznym. Niemalże zasługi położył Tank na polu utrwalania przyjaźni łączącej nasze narody.

Za tę działalność, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości przekładowej, odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

KRYSZYNA ŚMIECHOWICZ

ZBLIŻYŁA

mat Briusowa. Artykuł Nalepińskiego ukazał się w sierpniu 1908 roku, tuż po przyjeździe rosyjskiego poety do Polski. Nie wiemy na temat kontaktów osobistych autora artykułu z Briusowem, nie wiadomo nawet czy do jakiegokolwiek spotkania doszło. Pewnie jest jedynie, że obydwa w tym samym czasie przebywali w Warszawie.

W roku 1909 w 44 numerze „Tygodnika Ilustrowanego” zamieszczony został artykuł Savitri pt. „Główna prawda współczesnej literatury rosyjskiej”, w którym czytamy:

„Briusow, poeta miasta i tragicznej lubieży, ...wiersze jego wyrażone jak posażki z kości słoniowej, wykazują skłonność ku klasycyzmowi. Elektryzm nastrojów robi z Briusowa typowego dekadenta”.

Pierwszy przekład Walerego Briusowa na język polski, to wiersz tłumaczony przez Edwarda Słoińskiego o bardzo wymownym tytule „Do Polski”, który został opublikowany w sierpniu 1914 roku, tuż po przyjeździe Briusowa do Warszawy. Rok później wydrukowane zostały dwa wiersze Edwarda Słoińskiego pod wspólnym tytułem „Panu Waleremu Briusowowi”, będące jak gdyby odpowiedzią na utwór rosyjskiego poety. Ten sam rok (1915) daje nam pierwszy przekład wiersza dokonanego przez Juliana Tuwima. Wiersz „Noli me tangere Maria” został zamieszczony w numerze 90 „Nowego Kuriera Łódzkiego”. Tuwim publikuje go pod pseudonimem Rocha Pełkińskiego.

W wydaniu książkowym znajdujemy wiersz Walerego Briusowa po raz pierwszy w roku 1917, w zbiorze

rze wierszy niepodległościowych pod tytułem „Ta, co nie zginęła” Edwarda Słoińskiego. Wiersz nosi tytuł „Na froncie zachodnim”. Dopiero w roku 1921 J. Tuwim wydaje tom wierszy pod tytułem „K. Balmont, W. Briusow, Liryci”. Jest to pierwsze w języku polskim wydanie przybliżające poecie rosyjskiego polskiemu czytelnikowi. Po roku 1921 nie mamy ani jednego samodzielnego wydania utworów Briusowa. Wiersze tego poety pojawiają się co jakiś czas jedynie w antologiach poetów rosyjskich i radzieckich, lub jako pojedyncze przekłady zamieszczone w czasopiśmie. W roku 1922 po raz pierwszy nazwisko Briusowa znajdujemy w „Historii literatury rosyjskiej” Aleksandra Brücknera.

„Walery Briusow — pisze autor książki — był tym, który w literaturze rosyjskiej zapoczątkował kierunek symbolistyczny”. W okresie międzywojennym brakuje wszelkich wzmianek na temat twórczości poety. Jedynie w roku 1925 w „Przeglądzie Warszawskim” zamieszczony został artykuł Zofii Biernackiej poświęcony twórczości Walerego Briusowa. Znajdują się w nim cenne uwagi na temat powiązań pomiędzy twórczością rosyjskiego poety a autorami francuskimi oarnasistów i symbolistów. Mniej miejsca w swoim artykule autorka poświęca utworom powstałym w okresie rewolucji oraz jego prozatorskiej.

W wydaniu encyklopedycznym pierwszy raz nazwisko Briusowa znajdujemy w „Encyklopedii Powszechnej” pod redakcją Stanisława Michalskiego. Encyklopedia została wy-

Różnorodność swoich zainteresowań przypomina ludzi renesansu interesował się matematyką i historią starożytną, filozofią i teorią poezji. Był naczelnym redaktorem pierwszego czasopisma symbolistów rosyjskich „Wiesy” i kierownikiem wydawnictwa „Skorpion”, które skupiało najwybitniejszych poetów tego okresu. Był założycielem i jednym z wydawców Wyższego Instytutu Literackiego, który z okazji jubileuszu Walerego Briusowa w roku 1923 został nazwany jego imieniem. Entuzjasta wszelkich osiągnięć technicznych, w swoich utworach przepowiadał zwycięstwo Kosmosu przez człowieka. Zasłynął jako propagator i świetny tłumacz poezji ormiańskiej (w Armenii do dziś uważany jest za poetę narodowego) doskonale znał język francuski, niemiecki, angielski a także łaciński i grecki. Przekłady z A. Mickiewicza, J. Słowackiego i współczesnych Briusowowi poetów polskich świadczą o tym, że nie był mu obcy także język polski. We wspomnieniach „O sobie samym” mówi o znajomości hebrajskiego i sanskrytu.

O ogromnym talencie poety rosyjskiego świadczy różnorodność jego pracy przekładowej. Dorobek Briusowa — tłumacza byłby wystarczający, by wnieść na stałe jego nazwisko do historii literatury rosyjskiej. Zarówno przekłady z A. E. Poe'go, jak Pindara, Verlaine'a i Dantego cieszą się do dziś zasłużoną sławą. Brał udział w moskiewskich spotkaniach z tak różnymi pod względem

charakteru twórczości poetami jak belgijski symbolista Emil Verhaeren i włoski futurysta Filippo Marinetti. M. Gorki nazywał go najbardziej kulturalnym pisarzem Rosji. Profesor P. N. Berkow, znawca twórczości Briusowa, wśród pisarzy XX wieku, jego stawia na trzecim miejscu zaraz po Gorkim i Majakowskim.

Polski czytelnik zna bardzo jednostronnie twórczość tego niezwykle oryginalnego poety. Znajomość ta dotyczy jedynie utworów poetyckich. Pierwsze polskie przekłady powstały jeszcze za życia autora i są przede wszystkim wynikiem osobistych kontaktów Briusowa z Polską. Istotne znaczenie ma też wzmógł się ruch wydawniczy i przekładowy, jaki można zauważyć w Polsce po roku 1905, gdy ukazują się wydawnictwa o charakterze encyklopedycznym: „Świat i człowiek”, oraz „Dzieje myśli”, dzięki którym zwiększa się zapotrzebowanie na informacje o aktualnych wydarzeniach kulturalnych.

Niechć do literatury rosyjskiej, jaką widzimy na początku XX stulecia wynikała ze stosunków społecznych i politycznych. Jakże wytworzyły się pomiędzy Polską i Rosją. Bezpośrednim powodem tego było wiazanie literatury z działalnością administracji carskiej. Dopiero w okresie Młodej Polski zaczyna zmieniać się to zdecydowanie niechętnie nastawienie, a twórczość rosyjskich pisarzy oceniana jest jako piśmiennictwo narodu walczącego o polityczną i społeczną wolność. W Polsce obok literatury niemieckiej i francuskiej ważną rolę zaczyna odgrywać także literatura rosyjska. Pojawiają się przekłady utworów nie tylko klasycznych, lecz także młodych autorów, którzy dopiero wkraczają do piśmiennictwa własnego kraju. Dlaczego pomimo tak, wydawało by się, sprzyjających okoliczności nazwisko rosyjskiego poety jest tak mało znane w naszym kraju?

Walery Briusow, był tym, który

zapoczątkował symbolizm w literaturze rosyjskiej. Ulegając wyraźnie wpływom poezji francuskiej reprezentował on odmienny nurt symbolizmu niż współcześni polscy twórcy. W odróżnieniu od poezji Bolesława Leśmiana czy Leopolda Staffa w utworach swych odrzucał treści mistyczne, gdyż w nich właśnie widział nowe niebezpieczeństwo zagrażające poezji, jej samodzielności. W tym okresie twórczości wyrzeka się on wszelkiej myśli społecznej i politycznej, twierdząc, że najistotniejszą rzeczą w procesie twórczym jest wyzwanie się indywidualności twórcy (teza ta zbliżona była bardzo do głoszonej we Francji koncepcji Stefana Mallarmego).

Z nazwiskiem rosyjskiego poety spotykamy się oficjalnie w prasie polskiej dopiero u młodożytych krytyków: Tadeusza Nalepińskiego i Savitri (pseudonim Hanny Zahorskiej-Elsenberg). Tak więc w roku 1907 Tadeusz Nalepiński pisze interesującą rozprawę „O Królu Duchu Rosji”, gdzie znajdujemy pierwszą wzmiankę o Briusowie. Następnie czasopismo „Prawda” zamieszcza w 1908 roku artykuł tego samego autora pod tytułem „Młoda Rosja”. W artykule tym Nalepiński daje dokładniejszą charakterystykę twórczości rosyjskiego poety nazywając go „najbardziej mądrym” i „najbardziej świadomym”. Znajdujemy tam także chronologiczne zestawienie wydanych zbiorów poetyckich, „...prócz „Juwenilia”, „Chefs d'oeuvre”, „Me eum esse”, „Urbi et Orbi”, „Tertia wigilia”, „Stefanos” — pisze autor artykułu — czytałem wstępy do tych książek, jak również akademicką broszurę Briusowa „O sztuce”. W dalszej części artykułu autor porównuje twórczość Briusowa do poezji Edgara Poe, mówiąc iż „...ofiaruje on swym holdownikom utwory niegorsze od „Never mor”. Są to pierwsze wzmianki w prasie polskiej na te-

LITERATURA

Relacja AWDOCI HRYCEWICZ:
(wieś Kapacewicz, pow. Soligorsk).

Schowalam się na strychu za leżącym kominem, przed kupą suchego lyka. A drabina skrzyp — skrzyp —

ALEKSANDER ADAMOWICZ, ceniony naukowiec i powieściopisarz białoruski, autor zarówno znaczących prac z zakresu historii i teorii literatury, jak i kilku powieści, związanych tematem z ostatnią wojną, wydał w bieżącym roku interesującą powieść, nagrodzoną przez Ministerstwo Obrony Narodowej ZSRR. Powieść ta, w znacznej mierze autobiograficzna, jest nie tylko plastycznym obrazem walk partyzanckich na Białorusi, ale i wnikliwym studium psychologicznym i filozoficzno-moralnym z wątkami głębokiej refleksji na temat wojny i pokoju, patriotyzmu i internacjonalizmu.

Zamieszczony tu fragment — zapis autentycznych relacji prostych ludzi, ocalałych cudem z egzekucji i akcji pacyfikacyjnych hitlerowskiego najazdu — jest niejako „wkładką dokumentalną”, wmontowaną w sensoryjny tok akcji powieściowej. Książka A. Adamowicza ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w przekładzie Macieja J. Kononowicza pod tytułem „Narodziona w płomieniu”.

RELACJA JÓZEFA KAMIŃSKIEGO: (wieś Chatyn, pow. Łagojsk, obwód Miński)

I mnie poprowadzili do tamtego chlewa... Córka, syn i żona — też tam. Tytu ludzi. Mówię do córki: „Dlaczego się nie ubrała?” — „Przecież pożywali z nas ubranie” — mówi córka. — Ze mną i kożuch zerwali, rozebrali nas...” No, spędzą w chlew i zamkną. Spędzili tyłu ludzi, że nie ma czym oddychać, ręki nie podniesiesz. Ludzie krzyczą i dzieci; wiadomo, tytu ludzi i taki strach. Siano tam było, słoma, jeszcze karmili, trzymali krowy. Z wierzchu podpalili. Podpalili z wierzchu, pali się strzechy, ogień sypie się na ludzi, siano, słoma zapaliła się i ludzie się duszą, tak ścisnęli, że i oddychać nie ma jak, i nie ma jak złapać oddechu.

Mówię do syna: „Wpieraj się w ścianę rękami i nogami, wperaj się... A tu drzwi się otworzyły. Otworzyły się, a ludzie nie wychodzą. Co takiego? Przecież tam strzelają, strzelają tam, mówią. Ale krzyk taki, że tego strzelania, że tego stuku nie słychać. Toć wiadomo, palą się ludzie, ogień na głowy, a tu dzieci — taki krzyk, że... Mówię do syna: „Przez głowy, przez głowy trzeba!” Podałem im go. A sam dołem, między nogami. A na mnie zabili nawałili się. Nawalili się na mnie bici, odepchnąć nie można. Ale poruszyłem ramionami — wtedy jeszcze byłem zdrowy — zacząłem pełzną. Dopiełem tylko do progu, strzechy i zwaliły się, ogień na wszystkich. A syn też wyskoczył tylko moją głowę trochę osmalilo, tylko włosy się opaliły. Odbiegł z pięć metrów — jego i położył. Na nim ludzie zabili — z karabinu maszynowego wszystkich...”

„Wstawaj, mówię, oni pojechali, pojechali już”. Zaczęłem go wyciągać, a tu u niego i kieszki już. Pytał tylko jeszcze, czy mama żyje... Nie daj Boże nikomu, kto żyje na ziemi, żeby nie widzieli i nie słyszeli takiej biedy!”

któs idzie. Słyszę, on już tu, obok, ktoś zadyszany. Kroki — idzie do mnie. Otworzyłam oczy, a on na mnie patrzy, patrzymy na siebie. A tu już drugi

wziął. Tak on wziął garść lyka i położył mi na twarz, zakrył.

Relacja MARII KOT: (wieś Wielkie Prusy, pow. kopyliński, obwód Miński)

Zabrali nas, a ciągle słyszę jak za piecem dobijają sąsiadów, jak upadli, tak i rozleźliśmy się każdy swoją rodziną. Widzę, jak kobieta całuje rękę i nie daje odsunąć łóżka — tam jej dzieci, a on kopie ją nogami po głowie... Tłuką łóżkami po dzieciach, a one piszcza, o Boże, drugi zobaczył, że ja patrzę, podbiegł i trach, trach trach, ja widzę jak teraz siny nagan, siny, i ogniem mnie — po twarzy, po twarzy. Ciągnął mnie za nogę do moich dzieci. A ja jeszcze żywa... Słyszę — znowu chodzą. Myślę, znowu Niemcy. A to mój syn, Zora, cały we krwi, nie widzi, idzie do drzwi. „Synku!” A on: „Ja myślałem mamę, że was już nie ma, niechaj i mnie zabiją...” „Kładź się,

mówię, synku na to samo miejsce, może ono szczęśliwe!”

Nie wiem, czy uszyli tam, czy co, ale wbiega jeden: „Wstawaj!” Poczekał, posłał. Potem rzucił granat — pod piec. A już dym, już naszą lepiankę palą, oblali czymś, pułap nad nami pali się, trzeszczy ogień. Nie zabili oni nas, to jeszcze gorzej — żywcem się spalimy. A dziewczynki zabili i jeszcze i spala. Wyskoczyłam, łóżko stało przy oknie, wytalamalam ramę, wołam Zorę: „Pomóż no mi wyciągnąć je! Dziewczynki nasze”. Wyciągnęłam mniejszą — ja kula tu między oczy trafiła — na łóżko ją, na parapet i jakoś na dwór. Później starsza, ona już szesnaście miała. Podniosłam — a one takie młode, miękkie...

Relacja JAKUBA STRYNATKI: (wieś Szalajouka, pow. Kirowski koło Mohylewa)

W czterdziestym drugim, było to latem. Jeszcze nie bardzo było tu słychać partyzantów. W Borkach stała policja. A tu nagle Niemcy otoczyli Borki. Kogo spotkają na polu, czy w krzakach, nie zabijają a gnają przed sobą do wsi. Jechaliśmy, jak raz, do Borków, obiecali sprzedać jęczmienia. Diabli nadali! Chcieliśmy z powrotem zawrócić konia, nie dali. Nie bili, co prawda, to prawda, tylko pokazali, żeby jechał do Borków. Pognałem konia, żeby prędeż od nich, wjechałem

od razu przesiekł ją. A ja jak odskończyłem od stołu, kiedy posyłałem ich w podwórzu, jak siadłem na łóżko, tak i siedzę — tylko ciemno, ciemno w oczach... Siostrzeniec podniósł się z stołu — Niemiec i jego! Zdażyłem jeszcze zobaczyć, jak z drugiego pokoju starego popychali. Tu już i mnie puścili — ja osunąłem się na łóżko. Kiedy znowu otworzyłem oczy — dziadek już leży martwy koło progu, i coś młaska — to świńa weszła i chlepiec krew gospodarzy...

Relacja HANNY SINICKIEJ: (wieś Borki, pow. kirowski).

Weszli do chaty, i nie mówiąc ani słowa, strzelili do mamy. Przedtem myśleliśmy: „Pac-pac-pac!” — strzelali u sąsiadów. Mama powiedziała: „Kury łapia!”. Nawet nie pomyśleliśmy, a na drogę baliśmy się wyjść. Kto wyjdzie, oni prosił: „Nahause, matka”. Jak strzelili do mamy, ona jeszcze mogła do naszego pokoju wbiec: „Dzieci!”. Ja od razu wzięłam na piec i siostry za mną, ja leżałam przy ścianie i dlatego zostałam. Jeden stanął na łóżku, żeby wyżej i strzelał z karabinu! Załadował i znowu — bach! Siostrzyczki z brzegu i na mnie leżały: „Oj!”, „Mamuśka!” — a krew na mnie. Potem słyszałam, jak Niemcy rozmawiali, śmiali się. Był pateron, nakreślił i słuchali naszych płyt. „Polusko-pole!”... Pograli i

dzili partiami, a potem rodzinami. Mnie ostatnią, byłam ostatnią. Czworom moich dzieci było ze mną. Mojego starszego to na samym progu rozłożyli. Upadłam na zabitych i dzieci ze mną. O, tu, w szyć mnie trafiło. Poczułam tylko jak Niemiec uścisnął moje nogi i strzela z tego... automatu. Dym taki, czad taki, nie do wytrzymania!... Kiedy się podniosłam, popatrzyłam na wszystkich, to myśleć: „To wszyscy będą wstawać, czy tylko ja jedna?”

Relacja MACIEJA RUDOWICZA: (wieś Dory, pow. wolożyński, obwód Miński).

Kazali wszystkim iść do kościoła, pomodlić się Bogu, i nas puszcza do domu. W kościele Niemiec podszedł do mnie: „Oddaj kinder matce, a sam — wek!”. Wziął za kołnierz i wyrzucił na dwór. I wszystkich, co nie z dziećmi — wychodzi! I kto zostawił dzieci, w kościele zostawi — może wychodzić. Puszczali, puszczali, kto zostawił... Ale nie każda matka może tak zrobić. No, moja nie rzuciła, nie zostawiła... Ale ktoś powinien przy życiu zostać, jeśli tak, prawda, czy nie? Jeśli tak, ktoś powinien zostać! Moja nie chciała, została z małym. Niemcy podpalili kościół. My wszyscy, co na dworze, słyszymy, jak ludzie tam biegają. Wszystkich poćli z karabinów maszynowych — ogień tylko...

Relacja DANIŁA WARABIOUJA: (wieś Zbyszyn, pow. kirowski, obwód mohylewski).

Ot, tak objął słup: „Zabijają — nie pójdę!”. Bili mnie oni, bili, nadojadło, to pobiegli ciuchy chwycić. A jeden idzie w moją stronę, co trzymał z Niemcami, prymak był, w chłopskim ubraniu. Dlaczego, stary, nie idziesz na zebranie? — „A ty, mówię, nie wiesz, jakie to zebranie? Idź sam...” — „Dokumenty, auswajsy wydają wam”. Mówi tak, a u niego samego takie oczy... E, widzę, ty jeszcze człowiek! — „Ratuj, mówię, bracie”. — „A jak ja ciebie uratuję, mnie samego rozstrzelają”. — „Poprowadź mnie do żyta”. On i oprowadził mnie. Leże w żyte, a ludzie się palą i moi tam... A ja wszystko słyszę, o Boże!...

Relacja NADZIEJI NIEHLUJ (z byłej wioski Lawiszcz, mieszka w Krasnej Staroncy, w pow. słuckim, obwód miński).

Kilka razy oni przychodzili, ale my, szczególnie którzy partyzanckie rodziny, chowaliśmy się w lesie. Wtedy oni przyjechali i zostali. Nikogo nie ruszają, niczego, jedzą swoje, a sam ich ten główny, naczelnik, z synem nauczycielki w szachy grał. A na ramieniu u niego malpa — w spodniach żywa. No i zaczęli niektórzy do domu przychodzić z lasu. Nie zatrzymują i puszczają z powrotem, idź, idź. Mróz, odzież, wiadomo, jaka przed wojną u ludzi, pościągali do domu. A oni wieczorem policzyli, ile okien się świeci — i raz! — już nikogo nie wypuszczają z wioski...

Przekład: MACIEJA JÓZEFA KONONOWICZA

ALEŚ ADAMOWICZ

RELACJA

Wanuu poety w sprawę polską. W jednym z artykułów poeta pisze: „Tu w Polsce wojna spełnia szczególną i nadzwyczaj ważną rolę, sprzyja zbliżeniu Polski z Rosją”.

Ale poza pracą reporterską Briusow był przede wszystkim poetą. Z tego okresu pochodzą wiersze poświęcone Polsce: „Do Warszawy”, „Do stalowych ptaków”, „Jeszcze Polska jest” i „Aeroplany nad Wisłą”.

Poza tą polską bibliografią poety, w której wyczuwamy zawsze nutę sympatii do naszego kraju, pozostały do dziś jeszcze inne dowody świadczące o tym, że Briusow czuł jakąś wspólnotę z polskimi z narodem polskim. O tym jak bardzo poeta rosyjski związany był uczuciowo z Polską, świadczy jego korespondencja. Podczas pobytu w Warszawie Briusow nawiązał znajomość z Kazimierzem Woyczyńskim. W kwietniu 1915 roku w liście do Woyczyńskiego pisał z Moskwy czytamy:

„Bardzo często wspominam nasze kawiarne spotkania warszawskie i wie pan — niekiedy odczuwam gwałtowną ochotę zobaczenia znowu swego krajoznanstwa waszej stolicy”.

Walerij Briusow był pierwszym rosyjskim twórcą, który został uroczystie przyjęty przez Stowarzyszenie Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Zaraz po przyjeździe poety do Polski w sierpniu 1914 roku zostało zorganizowane nadzwyczajne zebranie na cześć Briusowa. W tym samym czasie były wydane pocztówki z wierszami Waleriego Briusowa i Edwarda Stolskiego. Podczas swego pobytu w Warszawie Briusow poznał jednego z przywódców polskiego symbolizmu — Bolesława Leśmiana. Oprócz korespondencji, która zachowała się w archiwum polskiego poety, istnieją jeszcze inne dowody ich bezpośrednich kontaktów. W notatniku Waleriego Briusowa zachował się własnoręcznie wpisany wiersz Bolesława Leśmiana

„Gdybym spoikał ciebie znowu pierwszy raz”. Prawdopodobnie Briusow zamierzał tłumaczyć ten wiersz na język rosyjski, o czym świadczy podział rytmiczny wiersza zrobiony ręką poety.

Stosunkowo łatwo jest ustalić bezpośrednie kontakty Briusowa z Polską, natomiast o wiele bardziej złożonym zagadnieniem jest problem wpływu tego twórcy na literaturę naszego kraju. W jakiej mierze wpłynął Briusow na polską literaturę, a poezję w szczególności? Nie sposób dać wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie. Wpływu tego należałoby się doszukiwać u poetów bądź to tworzących w tym samym okresie, bądź u autorów, którzy przekładali jego utwory. Pewne powinowactwo duchowe, podobieństwo tematów znajdujemy we wcześniejszych twórczości Leśmiana, Staffa, czy nawet Tuwima.

W jakim stopniu jest to jednak zależność wywołująca się z bezpośredniego wpływu rosyjskiego poety, a nie zbieżność ideowa konkretnego nurtu, który oparował nie tylko Francję, lecz w równym stopniu Polskę i Rosję? — Odpowiedź na to pytanie jest niezwykle trudna. Odnotujemy tylko kilka wypowiedzi rzucających pewne światło na ten problem. Helena Karwacka w monografii Witolda Wandurskiego pisze, wspominając wczesną twórczość tego poety: „Być może były to także wiersze poświęcone miastu, ponieważ Tuwim i Wandurski byli w tym czasie pod silnym urokiem urbanistycznych wierszy R. Rimbauda i Briusowa”. Wspominając dzieło przyjaciela z J. Tuwimem W. Wandurski zapisuje:

„One to właśnie, zainteresowania Łodzią obok młodzieńczych sympatii dla drogiach nam mistrzów poezji Artura Rimbauda i Waleriego Briusowa... bardzo nas do siebie zbliżyły”.

Twórczością rosyjskiego poety w



swoich młodzieńczych latach interesował się też Józef Czechowicz. Kazimierz Miernowski, wielki przyjaciel Czechowicza w swoich wspomnieniach o polskim poecie pisze:

„W okresie do wyjazdu do Warszawy, z dostępnymi mi w oryginalnej rosyjskiej poezji lubił Błoka, Jesienina, Briusowa... Z jakim entuzjazmem czytał mi na Misjonarskiej przekłady Tuwima z Balmonta i Briusowa. Jeszcze dotąd pamiętam dźwięk jego głosu gdy odczytywał... „Płowego konia Briusowa”.

O popularności twórcy obcojęzycznego w danym kraju świadczy w dużym stopniu zapotrzebowanie czytelników na jego utwory, a co za tym idzie, ilość ukazujących się przekładów i teraz w ślad za Igorem Postupalskim należałoby powtórzyć słowa żalu, że polski czytelnik tak jednostronnie zna twórczość największego symbolisty rosyjskiego, że do dziś w Polsce nie znalazło się żadne wydanie, w którym obok wierszy zamieszczono bybyłyby słynne powieści „Ognisty anioł”, „Oltarz zwycięstwa”, „Tęmy opowiadań i sceny dramatyczne”, a także cenne prace z zakresu poetyki i teorii przekładu.

ICH POEZJA

dana w roku 1928, to jest w cztery lata po śmierci poety.

Dopiero rok 1960 przynosił nam tomik wierszy, który w całości poświęcony jest poetyce miłośnika dorobku rosyjskiego symbolisty. Wyboru wierszy dokonał Włodzimierz Słobodnik. Jest to do tej pory najbardziej obszerny wybór wierszy Briusowa. Znajdujemy w nim utwory pisane w młodzieńczym okresie twórczości (pierwsze wiersze zamieszczone w zbiorze pochodzą z 1894 roku), aż do wierszy pisanych w okresie Rewolucji Październikowej i dalej, w latach wielkich przemian. Ostatnie utwory z tomu „Walerij Briusow” pochodzą z roku 1924. Pierwsza recenzja tego zbioru ukazała się w piśmie „Nowe książki” w roku 1960. Autorem jej był Michał Głowiński. W rok później w czasopiśmie „Twórczość” zamieszczona została druga recenzja, która wyszła spod pióra rosyjskiego znawcy twórczości Waleriego Briusowa — Igora Postupalskiego. Igor Postupalski daje wnikliwą ocenę zamieszczonych tam przekładów, starając się jednocześnie wytłumaczyć wybór takich, a nie innych utworów, jakie wchodzi w skład zbioru. Recenzja ta świadczy także o doskonałym zorientowaniu rosyjskiego badacza w twórczości polskich poetów. W swoim artykule ustosunkowuje się on także do wartości przekładów:

„Jeśli chodzi o przekłady nie wątpię — pisze autor recenzji — o waleńkach prawie wszystkich tłumaczy. Piękne są nie tylko klasyczne już tłumaczenia J. Tuwima, piękne są również prace wielu innych poetów”.

Wśród nich Postupalski wymienia

LEKCJA
LITERATURY

10

Jak przekonać sceptyków?

Dalszy ciąg ze str. 1

przykładu: „sposz” piszemy razem, a „z powrotem” oddzielnie. Również pisownia „nie” rodzi wiele kłopotów przy obliczaniu szybkości czytania. Kłopot sprawia zatem „wielkość”. Czy można traktować jako jednostki tej samej „wagi” zarówno wyraz „do” jak i „identyfikacji”? Eksperymenty tachistoskopowe zdają się wskazywać na to, że można. Przy postrzeganiu liczby się jednostka znaczeniowa, którą jest wyraz, a nie jest znak graficzny.

Dla celów pomiaru szybkości czytania przyjęto więc definicję wyrazu: „Wyraz jest to grupa liter typu 1+n, dla n ówonego lub większego od zera, z przerwą po lewej i po prawej stronie”. Oznacza to, że przy liczbie liter n=0 wyraz będzie się składał z jednej tylko litery (na przykład „w”, „a” etc.).

Szybkości czytania nie można określić tylko stwierdzeniem, że ktoś czyta z taką to a taką szybkością bez podania rodzaju tekstu, jego stopnia trudności, a także celu czytania. Dlatego bardziej sensowne jest, obok precyzowania tych elementów podawanie raczej zakresu czy kości, jakim, dysponuje dany czytelnik. Ale i tu istnieje pewna zasadnicza trudność. Czytanie jest czynnością, której wynikiem nie jest żaden namacalny przedmiot poddający się ocenie i pomiarowi. Niemożliwe jest obiektywne stwierdzenie, czy ktoś zrozumiał czytany tekst bez zmuszenia tego kogoś do zademonstrowania w pewien sposób tego czego dowiedział się z czytania tekstu. Dlatego też każde sprawdzenie stopnia przyswojenia informacji zawartych w danym tekście jest z konieczności pomiarem pośrednim.

I tu rodzi się kolejne pytanie. Czy istnieje związek między stopniem rozumienia czytanego tekstu, a odpowiedzi na kontrolne pytania? Jakąś związek między tymi zmiennymi na pewno istnieje. Dokładnie jednak tego określić nie można. Z tego powodu nie mamy prawa powiedzieć, że ktoś kto poprawnie odpowiedział na siedem z dziesięciu kontrolnych pytań rozumie tekst w siedemdziesięciu procentach. Być może, że gdyby było dwadzieścia lub więcej pytań, ten sam czytelnik odpowiedziałby na procentowo większą ich liczbę. A może, gdyby sformułowano całkiem inne pytania, to wynik byłby zupełnie inny? Zatem pytania kontrolne „mogą nas jedynie „z grubsza” zorientować w stopniu rozumienia tekstu przez czytelnika. Podobnie rzecz się ma z innym sposobem sprawdzenia stopnia zrozumienia tekstu — ze streszczeniem.

Wyjście z tego impasu można znaleźć tylko wtedy, gdy efektywność czytania zdefiniuje się jako „zas potrzebny na zrealizowanie celu czytania. Dla rozrywki Czytelników podajemy przykład tekstu, zbudowanego na tej zasadzie. Składa się on z dziesięciu zdań, które zawierają 300 wyrazów. Cel czytania każdego zdania to zakwalifikowanie osoby, o której mowa w tekście, do odpowiedniej kategorii. Poprawne rozwiązanie każdego zadania oznacza rozumienie równe 100 procentom, czas potrzebny na przeczytanie tekstu zadania jest więc jednocześnie miarą efektywności czytania.

Aby przekonać się, jaka jest nasza efektywność czytania musimy poprosić kogoś, kto poświęci się mierzeniu naszego czasu czytania, podczas rozwiązywania testu. Czas czytania można mierzyć przy pomocy zegarka z sekundnikiem.

UWAGA: mierzy się tylko czas poświęcony na CZYTANIE, a nie na zastanawianie się nad rozwiązaniem. Ważne jest, aby mierzycy czas uchwycił moment rozpoczęcia i zakończenia czytania zadania.

Przed przystąpieniem do rozwiązywania testu należy się dobrze zapoznać z instrukcją i rozwiązać zadania przykładowe.

Po jakimś czasie, gdy będzie się nam wydawało, że czytamy lepiej i szybciej, możemy jeszcze raz rozwiązać ten sam test. Przekonamy się wtedy, czy rzeczywiście wzrosła nasza efektywność czytania. Życzymy przyjemnej zabawy!

INSTRUKCJA

Pewien ekscentryczny mleczarz miał zwyczaj sprzedawać mleko tylko ludziom należącym do określonych kategorii. Chodził on od domu do domu spotykając ludzi, z których wszyscy chcieli od niego kupić mleko. Jednakże mleko otrzymywali ci, którzy należeli do kategorii oznaczonych znakiem X w tabeli mleczarza, ale tylko raz. Np. mężczyzna albo wysoki albo mieszkający w wysokim domu.

TABELA

		mężczyźni	kobiety	chłopcy	dziewczeta
		A	B	C	D
wysocy/wysokie	1	X		X	
niscy/niskie	2		X		X
mieszkający w domach parterowych	3		X	X	
mieszkający w wyższych domach	4	X			X

PRZYKŁAD

Przed domem na stołku siedział mężczyzna. Palił długą fajkę i uśmiechał się. Po krótkiej chwili wstał i podszedł do mleczarza. Mleczarz musiał zdźrzeć głowę wysoko, aby spojrzeć mu w oczy.

Czy mleczarz sprzedał tej osobie mleko?

ROZWIĄZANIE:

TAK, gdyż jest to wysoki mężczyzna. X stawiamy w rubryce 1-A.

Rozwiązując zadanie należy nie tylko stwierdzić, czy mleczarz zdecydował się sprzedać mleko, czy też nie, lecz także określić kategorię, do której należy osoba, o której mowa w zdaniu. Np. 1-A, 2-B, 4-A itd.

Podczas rozwiązywania zadań można cały czas patrzeć w tabelę.

Oto kilka przykładów dla nabrania wprawy przed przystąpieniem do rozwiązywania właściwego testu. Dobrze byłoby także przećwiczyć sposób mierzenia czasu na tych właśnie przykładach.

PRZYKŁADY

Której z osób występujących w przykładach mleczarz sprzeda mleko?

1. Dom otoczony był drzewami. Wśród drzew stał namiot tak wysoki jak dom. Mleczarz zapatrzył się na namiot i nie zauważył, kiedy z domu wyszła kobieta i zbliżyła się do niego.

EWA NURCZYŃSKA

Cel nadrzędny

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku oficjalnie był pierwszą tego typu imprezą w kraju. Piszę — oficjalnie — jako że wieloletnie tradycje Lubuskiego Lata Filmowego poprzedzają festiwal w Gdańsku, przygotowały go tak w sensie merytorycznym jak i organizacyjnym. Festiwal gdański przerósł rozmachem lubuską imprezę, w pewnym jednakże sensie, jak na razie, zaprzepaścił dane mu przez nią szanse. Omawiając charakter i przebieg I Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku, należy brać pod uwagę fakt, że była to próba poszukiwania dlań formuły najwłaściwszej, stąd też rodzi się prawo udziału zarówno w dyskusji oceniającej jak i postulującej.

Nagrody główne i specjalne gdańskiego Festiwalu znane są już czytelnikom, prezentowała je i omawiała prasa codzienna. Szczegółowość ich omówień w mej relacji nie miałaby więc większego sensu. Pojawiają się one jednakże w pewnym określonym bloku problemowym, związanym z pytaniem szerszym, pytaniem o cel i kształt imprezy, która, jak sądzić należy, znalazła swe trwałe miejsce wśród innych wydarzeń i zjawisk naszego życia kulturalnego. Zrodziła się jakby na przekór wszystkim głosom, protestującym przeciwko mnożeniu się najróżniejszych festiwali, których organizacja jest dowodem ambicji wielu środowisk twórczych — zawodowych i amatorskich, ale także wielu miejscowości, które powołując do życia festiwale i przeglądy artystyczne, widzą w tym szansę ożywienia życia kulturalnego w swym środowisku i swoistej, najciekawszej szlachetnej reklamy swych sukcesów i aspiracji. Impreza gdańska ten cel zawierała również. Osiągnięcia Tródmieścia, ciągle na nowo zachwycającego urodą i dynamiką rozwoju życia gospodarczego stała się przedmiotem dumy nie tylko jego mieszkańców. Port Północny stał się sprawą tych iż symbolem. Ambicje kulturalne Gdańskiego Wybrzeża w organizacji tak dużej imprezy, jaka jest Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, znalazły zaś swe kolejne ujawnienie. W tym przypadku sensowność celu i ambicje znalazły swe potwierdzenie, choć o czym będzie mowa dalej, potwierdzeniu temu nadać trzeba jeszcze większą wewnętrzną jakość, pełniejszą niż miało to miejsce w czasie pierwszej próby.

Cel Festiwalu ma bowiem kilka

swych nurtów, spotykających się, lecz na pewnych swych odcinkach wymagających rozwiązań szczegółowych. Przyjrzyjmy im się.

Festiwal, jako jeden ze sposobów udostępnienia dóbr kultury masowej odbiorcy — celowi temu poświęcono w Gdańsku wiele uwagi. W kinach Tródmieścia królował repertuar polski, zorganizowano pokazy filmów biorących udział w konkursie i w sekcji informacyjnej, pokazy retrospektywne — tematyczne (filmy o morzu i Wybrzeżu, Polacy na frontach II wojny światowej itp) i monograficzne (przebieg filmów Andrzeja Munka, polskie komedie filmowe). W sumie 240 seansów w ciągu tygodnia. Ilość i programowy układ tych pokazów dawały obraz dzieł i współczesności polskiego filmu. Podana przez organizatorów górna granica frekwencji na poszczególnych seansach, a wyrażona 40 proc., mogłaby kwestionować zasadę masowości imprezy, gdyby nie świadomość tego, że pokazy premierowe Festiwalu były tylko jego dodatkowymi ozdobnikami, a głównie one przecieć miały szansę wypełnić sale kinowe po brzegi.

Masowość Festiwalu mierzyć więc trzeba nie tylko liczbą jego uczestników, ale jakością poszczególnych prezentacji filmów i spotkań z twórcami. Wielkie zakłady przemysłowe Tródmieścia, a wśród nich stocznie i porty partycypujące finansowo w Festiwalu, organizując wraz z jego kierownictwem pokazy dla swych załóg i spotkań z twórcami, a także plebiscyt na najlepsze prezentowane w konkursie filmy, stawiały na ową jakość. Chodziło o wsłouchanie twórców zbliżeniem twórców filmowych dzieł

2. Mleczarz zastukał. Po krótkiej chwili drzwi otworzyła mu bardzo atrakcyjna kobieta. Mleczarz znalazł ją i wiedział, że jest biedna, gdyż stać ją było tylko na pokój na najwyższym piętrze.

Rozwiązanie: 1) 3-B, (tak), 2) 4-B (nie).

TEST

1. Przed domem mleczarz zobaczył mężczyznę myjącego samochód osobowy. Mężczyzna spostrzegł mleczarza i pomachał mu ręką, przy czym o mało nie spadł ze stołka, na którym stał przy myciu dachu samochodu.

2. W ogrodzie mleczarz zobaczył rumianego chłopca, lat około czternastu trzymającego w ręku krótki patyk. Chłopiec podskakiwał starając się patykiem strącić małą gumową piłkę, która mu wpadła na dach jego domu.

3. Mleczarz zastukał, lecz nikt na stukanie nie odpowiadał. Nacisnął więc klamkę i wszedł na klatkę schodową. Nie spotkawszy nikogo postanowił wyjść z domu. Gdy otwierał drzwi wyjściowe, spotkał młodą dziewczynę.

4. Wszystkie okna domu były szeroko otwarte. Już z daleka w jednym z pokoi mleczarz zobaczył chłopca. Chłopiec stał przy wysokim regale na książki i układał je porządknie na górnej półce.

5. Przed domem, do którego zbliżył się teraz mleczarz, stało młode jeszcze drzewko jabłoni. Drzewko gęło się w podmuchach wiatru i uderzało delikatnymi gałązkami o blaszany dach domu. Oknem wyglądała kobieta.

6. Mleczarz zbliżył się do furtki i pociągnął za sznurek dzwonka. W odpowiedzi na dźwięk dzwonka ukazał się w drzwiach domu chłopiec. Musiał się schylić, aby nie uderzyć głową o futrynę.

7. Zanim mleczarz zdolał nacisnąć przycisk dzwonka drzwi się otwały i ukazała się w nich dziewczynka z psem. Dziewczynka trzymała w ręku butelkę i ledwo ją było widać zza grzbietu psa.

8. Za domem mleczarz spostrzegł dziewczynkę czytającą książkę w cieniu drzew. Siedząc dziewczynka wyglądała całkiem normalnie, jednakże jej nogi były dwa razy dłuższe niż nogi każdego innego dziecka w jej wieku.

9. Kobieta mieszkająca w tym domu była osobą bardzo piękną, lecz ubogą. Dom, który kupiła, był najmniejszy w całym osiedlu: składał się tylko z kuchni i jednego pokoiku. Kobieta otworzyła drzwi.

10. Mleczarz długo stukał do drzwi. Gdy już zrezygnowany zamierzał odejść, usłyszał dziewczęcy głos nad sobą. Zanim zdążył cośkolwiek pomyśleć, zobaczył jak jakaś dziewczynka skoczyła z dachu i podbiegła do niego.

Efektywność czytania = 300 wyrazów razy 60 sekund, podzielone przez łączny czas czytania w sekundach. Średni czas rozwiązywania jednego zadania uzyskujemy dzieląc łączny czas czytania przez ilość zadań, tzn. 10.

Prawidłowe rozwiązania zadań patrz na str. 16.

BOGDAN KRAKOWIAN

pośrednim zderzeniu z dokonaniem innych, może jednak służyć swoistej autoświadomości. Konkurs festiwalowy był poza tym tak po prostu, po ludzku środowisku filmowemu potrzebny. Tym bardziej że w ramach FPFF znalazły się zarówno tzw. filmy kinowe jak i filmy telewizyjne, oceniane przez jury w tych dwu kategoriach. Podział ten rozumieniem jednak nie tak, jak wielu uczestników Festiwalu, podkreślających ich odrębność formalną. Jest to podział gatunkowy, taki, jaki istniałby w konkursie na powieść lub na nowelę. Prezentowane na ekranie kina festiwalowego małe formy fabularne, jakimi były tzw. filmy telewizyjne, w swym generalnym kształcie formalnym, ściślej — stylistycznym, nie różniły się od pełnych form kinowych. Wstrzymywały konkurencję, zyskiwały zaś w większości na urodzie. Oczywiście widzę na przykład monitorową projekcję filmu Konrada Swinarskiego „Sedziowie”, którym nawet barwny telewizor odbierze główną koncepcję inscenizacyjną — jest to jednak zagadnienie wymagające rozważań przekraczających ramy mej relacji.

Konfrontacja tzw. filmów kinowych i telewizyjnych pozwala natomiast dostrzec jedną rzecz zasadniczą, której świadomość może wpłynąć na poszukiwania twórcy w obu uprawianych gatunkach. W filmach telewizyjnych preferowano tematykę współczesną, określoną jednak formułą małego realizmu. Nie czynię z tego zarzutu, jako że interwencja tonu np. film Mieczysława Waśkowskiego „Jej portret”, czy trafienie w neuralgiczny punkt organizacji naszego życia i pracy w „Uszczelce” Andrzeja Konica ma swój walor bezsporny. W filmie telewizyjnym trzeba jednak widzieć również szansę na artystyczny eksperyment, jakim byli np. „Sedziowie” i na taką próbę małej formy fabularnej, jaką był „Nocleg” Feliksa Falka, którego uogólniającemu walorowi moralnemu i emocjonalnemu owa „małość” nie przeszkodziła. Film telewizyjny jest w naszych warunkach szansą młodych, debiutujących w zawodzie filmowców. To rzecz bardzo ważna. Falk pokazał, że może to być debiut równie ważny, jak w dużej fabule. Nie ona bowiem jest receptą na dzieło wybitne — było tego przykładów na Festiwalu aż nadto wiele.

Bezapelacyjne zwycięstwo „Iluminacji” Krzysztofa Zanussiego wśród wielu filmów o tematyce współczesnej, jest jeszcze raz uświadomieniem przepaści, dzielącej ją od większości

Spojrzenie z góry

Siadając wieczorem przed ekranem telewizora, pragniemy dowiedzieć się, co ciekawego wydarzyło się tego dnia w kraju i na świecie. Dzięki szeroko rozbudowanemu systemowi telekomunikacji, a w tym również dzięki systemom łączności satelitarnej, możemy w kilka godzin oglądać u siebie w domu migawki z najciekawszych wydarzeń, uczestniczyć w posiedzeniach różnych organizacji krajowych i zagranicznych, a także brać udział niekiedy na bieżąco w wydarzeniach, które mają miejsce w różnych punktach naszej planety.

Taki jest między innymi pożytek z satelitów, które nieprzerwanie krążą wokół naszej planety. Ale, jak to w styczniu 1974 roku obliczyła redakcja amerykańskiego czasopisma „*Interavia*”, na przełomie ubiegłego i bieżącego roku w przestrzeni kosmicznej wokół naszej planety krążyło 3017 obiektów kosmicznych różnej wielkości i różnego przeznaczenia, a obok nich 2322 wraki. Dziś są to już liczby nieaktualne, gdyż stan ten uległ zmianie, jako że przez te kilka miesięcy 1974 roku wysłano wiele nowych obiektów kosmicznych. Współczesny człowiek może jednak zapytać: po co ta inwazja metalu i aparatury w przestrzeni kosmicznej? Jaki jest cel nieustannego atakowania Kosmosu w najbliższym sąsiedztwie Ziemi?

Telewizja, korzystając między innymi z satelitów, zaspokaja naszą ciekawość świata, ale człowiek współczesny jest ciekaw nie tylko tego, co dzieje się na powierzchni Ziemi, ale również ciekaw jest tego, co dzieje się w przestrzeni kosmicznej Ziemi otaczającej, sięga swoją ciekawością powierzchnię Księżyca, planet Układu Słonecznego, wysyłając tam sondy kosmiczne. Ciekaw jest również przeszłości swojej planety, przeszłości Księżyca i historii choćby tylko tej części Kosmosu, w której wraz z

Układem Słonecznym krąży jego planeta. I poznaniu tej przeszłości, jak i też bliższemu poznaniu Ziemi, służą satelity.

Z pomocy aparatur zainstalowanych na satelitach korzysta meteorologia, nawigacja, telekomunikacja, a także wojsko. Z pomocy tej korzystają geografowie, geologowie, biologowie i kartografowie. Z wysokości, na której krążą satelity można inaczej zobaczyć Ziemię, można fotografować chmury, śledząc tworzenie się ciągłych groźnych jeszcze huraganów. Obserwując Ziemię z góry można uważnie śledzić niebezpieczne zmiany środowiska człowieka i dzięki temu podejmować działania mające tym zmianom zapobiegać. Tę aparaturę i tony złomu krążące aktualnie w przestrzeni kosmicznej przyniosły już nauce i przyniosą jeszcze wiele pożytku.

1.

28 lutego 1959 roku Amerykanie wysłali z bazy lotniczej Vandenberg w Kalifornii sztuczny satelitę „*Discoverer*”, rozpoczynając tym ogólnie rozpoznawanie fotograficzne Ziemi. Od 1962 roku nie publikuje się żadnych informacji uzyskiwanych przez tego typu satelity, jak również nie publikuje się informacji dostarczanych przez satelity „*SAMOS*”. Szerokie badania nau-

kowe przy pomocy satelitów prowadzi również Związek Radziecki. Badania takie prowadzi też Wielka Brytania, Australia, Japonia, Francja, Chińska Republika Ludowa, Kanada, Włochy i RFN.

23 lipca 1972 roku Amerykanie wysłali pierwszy satelitę — „*ERTS 1*” — (Earth Resources Technology Satellite) — przeznaczony do badań zasobów Ziemi. Informacje uzyskane przez tego satelitę udostępnił uczestnikom Kongresu Międzynarodowego Towarzystwa Fotogrametrycznego, który obradował w Ottawie. Materiały te, jak i inne dostępne materiały badań naukowych, odpowiadają na dwa pytania: co można zobaczyć z góry i jak patrzy się z góry?

Ogólne rozpoznawanie satelitarne wskazuje te rejonu kuli ziemskiej, które mogłyby zainteresować naukowców i które należy zbadać dokładnie, a więc uważnie przyjrzyć się im z góry.

2.

W drugim i trzecim ćwierćwieczu naszego stulecia używano samolotów do dokonywania zdjęć lotniczych powierzchni Ziemi, co pomagało przy sporządzaniu nowych map topograficznych, a także przy korygowaniu starych. Przy okazji dokonano wielu cennych odkryć archeologicznych, a między innymi odkryto znaki ułożone na płaskowyżu Nazca w Andach. W 1931 roku również dzięki analizie zdjęć lotniczych dokonano odkrycia w Karolinie w Północnej Ameryce pola kraterowego, które pozwoliło Otto Muckowi na postawienie hipotezy o zderzeniu Ziemi z „planetoidą A”, które to zderzenie miało być przyczyną zatonienia legendarnej i ciągle darennie poszukiwanej Atlantyd.

Z góry można zatem zobaczyć więcej, można zobaczyć to, czego nigdy nie dostrzeżesz z dołu. Ale przecież w miarę oddalania się od powierzchni



„SHINSEI” (Japonia)

Ziemi widać coraz gorzej. Już z wysokości 100 km widać tylko przedmioty o średnicy 60 m. Z wysokości tysiąca kilometrów — przedmioty o średnicy 600 m, a z wysokości 36 tys. km — przedmioty o średnicy 2200 m. Lotniska powiększają 6 razy na wysokości 100 km przybliża nam przedmioty o tyle, że widać te, które mają średnicę 20 m, z wysokości 1000 km — o średnicy 200 m, a z wysokości 36 tys. km — o średnicy 7 km. Dopiero luneta powiększająca 500-krotnie pozwala widzieć z wysokości 200 km przedmioty o średnicy 0,3 m, z 1000 km — o średnicy 1,2 m, a z wysokości 36 tys. km przedmioty o średnicy 20 m. Inaczej widzi się jednak z takiej wysokości bezpośrednio obserwując, a inaczej widzi się na zdjęciach utrwalonych przez aparaty i przekazanych do ośrodków kontrolnych na Ziemi.

Co więc może zobaczyć kamera? Edmund Staniewski i Ryszard Pawlikowski w książce „15 lat podboju Kosmosu, 1957 — 1972”, będąc aktualnie encyklopedią wszystkich spraw związanych z Kosmosem, podają średnice przedmiotów rozróżnianych przez kamery o różnych ogniskowych obiektywów z różnych wysokości.

Na przykład: Kamera o ogniskowej obiektywu wynoszącej 5 cm na filmie o rozdzielczości 80 linii w 1 milimetrze może z wysokości 100 km zarejestrować przedmioty o średnicy 25 m, z wysokości 500 km — o średnicy 125 m, z wysokości tysiąca km — o średnicy 250 m, a z wysokości 36 tys. km — o średnicy 9 km.

Satelity rozpoznawcze poruszają się na wysokości około 200 km i według danych opublikowanych przez prof. Lecha Ratajskiego w nr 4 „*Problemów*” z kwietnia 1974 roku, a zacierpniętych z prasy zachodniej, kamery stosowane w satelitach „*SAMOS*” przy zdolności rozdzielczej 100 linii w milimetrze pozwalają, przy ogniskowej obiektywu wynoszącej 30 cm, widzieć i fotografować przedmioty o średnicy 20 m, z wysokości 240 km a z wysokości 192 km — o średnicy 16 m. Natomiast przy ogniskowej 60 cm i tej samej zdolności rozdzielczej linii na błonie fotograficznej, z wysokości

240 km — przedmioty o średnicy 6,9 metra, a z wysokości 192 km — o średnicy 5,3 m.

ERTS 1 porusza się natomiast na wysokości około 915 km i posiadał system fotograficzny umożliwiający rozróżnianie na kliszy przedmiotów o średnicy 80 m, co do badań zasobów Ziemi zupełnie wystarcza. Gdyby natomiast posłużyć się tą aparaturą w przypadku satelitów krążących nad planetą na wysokości 200 km, to można przy odpowiednich warunkach otrzymać zdjęcia fotograficzne, pozwalające rozróżnić zarys osiedli, lotnisk, sieci komunikacyjnej, zakładów przemysłowych. Warto bowiem nadmienić, że przy wysokości 200 km można fotografować pas Ziemi o szerokości 3180 km, co stanowi 1,5 proc. powierzchni kuli ziemskiej. Natomiast z wysokości tysiąca km fotografuje się pas Ziemi o szerokości 8 tys. km — 6,8 proc. kuli ziemskiej.

Edmund Staniewski i Ryszard Pawlikowski w swojej książce „15 lat podboju Kosmosu” rozważali możliwość stosowania na satelitach kamer o obiektywach z ogniskową wynoszącą 5 m. Wtedy to z wysokości 200 km, przy zdolności rozdzielczej błony filmowej, wynoszącej 80 linii w milimetrze, można by fotografować i rozróżniać przedmioty o średnicy 0,5 m, z wysokości tysiąca km — o średnicy 2,5 m, a z wysokości 36 tys. km — o średnicy 90 m.

Dziś stosuje się już taśmy filmowe o zdolności rozdzielczej pozwalającej na większe rozróżnianie szczegółów, a także — dzięki optyce składanej — aparaty z ogniskową wyższą niż zakładali to E. Staniewski i R. Pawlikowski we wspomnianej książce. Optyka składana umożliwia stosowanie aparatów fotograficznych i filmowych o ogniskowej, 18 m, 24,5 m, a także szuka się możliwości wprowadzenia aparatów z ogniskową wynoszącą 100 m.

Z danych, jakie są aktualnie dostępne, wynika, że stacja orbitalna „*SKYLAB*” dysponuje sześcioma systemami fotograficznymi, które pozwalają rozróżniać szczegóły na powierzchni Ziemi wielkości 20 — 38 metrów, a kamera wysokorozdzielcza pozwala rozróżniać na fotografii szczegóły wielkości 10 m, a więc prawie wielkości dużego samochodu.

3.

Wiemy już, co można zobaczyć z góry. Pozostała prawda: JAK? Nie jest to bowiem takie proste, gdyż do fotografowania z góry używa się nie tylko promieniowania widzialnego, ale również promienie gamma, ultrafioletowe, podczerwone. Do badań geologicznych używa się też radaru.

Radar pozwala fotografować te obszary, które stałe pokryte są chmurami, a także gęstą roślinnością. Przy pomocy radaru można badać z góry grubość pokrywy lodowej. Natomiast wyszukiwanie źródeł promieniowania gamma pozwala na wykrycie złóż rud uranu, potasu, toru. Wykorzystywanie promieniowania ultrafioletowego pozwala na wykrywanie złóż ropy naftowej albo rtęci.

Ropy naftowej — tak dziś potrzebnej w dobie kryzysu paliwowego — można też szukać przy pomocy rejestracji promieniowania podczerwonego. Aparatura, jaką dysponują uczeni, pozwala wykrywać na powierzchni Ziemi różnice temperatur wielkości dziesiątych części stopnia z wysokości wielu setek metrów. Rejestracja źródeł podczerwieni może być prowadzona niezależnie od warunków atmosferycznych i niezależnie od pory dnia. Fotografowanie źródeł podczerwieni pozwala wykrywać pożary lasów na rozległych przestrzeniach, badać skład gleby, ogniska podziemnych pożarów węgla czy torfu, szukać gorących gejzerów, wulkanów błotnych, a także na obserwację zjawisk wulkanicznych. Przy pomocy podczerwieni można wcześniej niż to da się odkryć gołym okiem, stwierdzić zakażenie dużego rejonu pokrytego roślinnością — lasów, plantacji owocowych czy pól uprawnych. Podczerwień pozwala także na wykrywanie stopnia zawilgocenia gruntów.

Nauka wiele już skorzystała z wyniesienia kamer na orbity okołoziemskie satelitów. Obiektywy tych kamer kieruje się jednak nie tylko w stronę powierzchni Ziemi, ale też w kierunku przeciwnym — w Kosmos. Wspomaga je rozliczna i różnorodna aparatura. Związek Radziecki na przykład dysponuje kilkoma programami badania przestrzeni kosmicznej. Można zaliczyć tu takie programy jak: „*Kosmos*”, „*Elektron*”, „*Proton*”, „*Poliot*”, oraz program badania dalszej przestrzeni kosmicznej — „*Sonda*”. Podobne programy — choć w znacznie mniejszej skali — mają inne państwa, prowadzące badania naukowe przy pomocy satelitów. Licznymi programami badania Kosmosu dysponują Amerykanie.

4.

Radzieckie sondy kosmiczne posyłały w kierunku Marsa i Wenus, dostarczając uczonym wiele interesującego materiału o tych planetach Układu Słonecznego. Również amerykańskie sondy penetrowały te planety. Jak wynika z dotychczasowych wyników tych badań, nie stwierdzono żadnych śladów jakiegokolwiek form życia, choć fantazja pisarzy pierwszych książek z dziedziny science fiction tam właśnie lokowała rozumne istoty. Od dawna



„PROSPERO” (W. Brytania)

ludzie są ciekawi, czy w Kosmosie, jeśli już nie w naszym Układzie Słonecznym, znajdują się inne cywilizacje. Ciekawość ta pobudza z jednej strony do śmiałych przedsięwzięć naukowych, do stałego na przykład nasłuchiwanie sygnałów z Kosmosu, z drugiej strony — do budowania równie śmiałych, a czasem wręcz karkołomnych hipotez. Jedną z nich skonstruował Carl Sagan.

Hipoteza Carla Sagana jest odwróceniem naszych możliwości patrzenia z góry. Spróbował on spojrzeć na Ziemię od strony Kosmosu, czyli tak, jak my patrzymy na Marsa. Poddano badaniom — jak twierdzi — zdjęcia dokonane przez satelity meteorologiczne „*Tiros*” i „*Nimbus*”. Satelity te dokonały zdjęć, na których rozróżnia się przedmioty o średnicy kilometr. Według Carla Sagana nie wskazuje na tych zdjęciach, aby na Ziemi było życie.

Poddano też — utrzymuje Carl Sagan — drobiazgową analizę 1800 kolorowych fotografii Ziemi wykonanych przez kosmonautów „*Apolla*” i „*Gemini*”. Fotografie te pozwalały rozróżniać przedmioty o średnicy około 100 metrów. Na zdjęciach tych w wyniku szczegółowej analizy udało się odróżnić wydmy, krater, które przecież nie są tworem ludzkim. Na fotografiach tych jednak — jak sam to stwierdza Carl Sagan — można łatwo rozróżnić miasta tej wielkości i rozległości jak na przykład Dallas, natomiast już nie rozróżnia się miast wielkości Kairu. Gdyby więc Marsjanie wysłali sondę kosmiczną w czasach, gdy nie było takich miast i gdyby dysponowali techniką nam równą, to również doszliby do wniosku, że na Ziemi nie ma rozumnej cywilizacji.

Ale czy mogliby stwierdzić, że na Ziemi jest w ogóle życie? Tak — odpowiada Carl Sagan — ale pod warunkiem że dysponowaliby aparaturą pozwalającą rozróżniać przedmioty o średnicy rzędu od 1 do 100 metrów. Wtedy mogliby bowiem dostrzec roślinność, a także niektóre wielkie zwierzęta. Amerykańskie sondy — *Mariner 6* i *Mariner 7* — nie dostarczyły żadnego materiału mogącego pozwolić na zbudowanie hipotezy o istnieniu na Marsie cywilizacji. Gdyby więc odwrócić sytuację i przyjąć, że sondy te penetrowały Ziemię, to Marsjanie również mogliby dojść do podobnego wniosku.

Tu warto przypomnieć, że obie sondy przekazały na Ziemię około 200 zdjęć powierzchni Marsa, a w wyniku penetracji tej planety przez *Marinera 9* udało się stwierdzić, że swego czasu płynęły tam rzeki, że są na Marsie góry wyższe od ziemskich. *Mariner 6* okrążył czerwoną planetę na wysokości około 3400 km, *Mariner 7* — na wysokości około 3200 km, a *Mariner 9* — około 1650 km. Natomiast minimalna odległość radzieckiej sondy — *Mars 2* — od powierzchni planety wynosiła 1380 km, a obserwacje powierzchni Marsa dokonywane były przy pomocy teledoktrywy pozwalającej rozróżniać przedmioty o średnicy od 10 do 100 m. Ponadto z *Marsa 3* łądownia mleko na Marsie stacja badawcza, która przekazała telewizyjny obraz płaskiej powierzchni planety. Co prawda przekazywanie telewizyjnych obrazów z Marsa uległo nagłemu przerwaniu, ale to w niczym nie zmienia sytuacji.

Trudno jednak przyjąć bezkrytycznie hipotezę Carla Sagana, gdy pamięta się o skuteczności naszych badań satelitarnych. Oczywiście nie wolno zapominać, że odbywają się one w innych warunkach, z inną częstotliwością, że mogą być powtarzane i korygowane. Niemniej przy poziomie obecnej techniki są maksymalnie skuteczne, a przecież nie wszystkie możliwości zostały ujawnione i możemy domyślać się, że naukowcy i dysponenti różnych systemów satelitarnych dysponują znacznie większymi niż my o tym wiemy i nam się to wydaje. Tak więc hipoteza Carla Sagana choć niewątpliwie interesująca i zakrawająca na fantazję, wymaga dużej ostrożności przy jej rozważaniu.

5.

Ludzie rozwiązując swoje codzienne, ziemskie kłopoty nie przestają tęsknić za innymi istotami w Kosmosie. Być może nadejdzie taki czas, że nawiążemy kontakt z inną cywilizacją. Jak na razie nie mamy na to ani możliwości, ani środków technicznych i zbyt wiele mamy jeszcze do zrobienia na własnej planecie.

Dalszy ciąg ze str. 11

dokonań innych. Te pustkę trzeba wypełnić i nie uczynia tego skromnie, choć potrzebne filmy telewizyjne. „*Palec boży*” Antoniego Krauzego, „*Zapis zbrodni*” Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego i wyświetlany jedynie w sekcji informacyjnej, lecz nagrodzony przez akredytowanych przez Festiwalu dziennikarzy, film „*Kochajmy się*” Krzysztofa Wojciechowskiego, były w ostatnim sezonie filmowym dowodem, że Krzysztof Zanussi nie jest już osamotnionym. Filmy myślowe, filmy interwencyjne, widzące to, co trzeba widzieć, co trzeba odczuwać, mogą i muszą mieć swą szansę. Sądząc z listy autorów, jest ona w rękach drugiego (trzeciego?) pokolenia polskich filmowców. Wielkie adaptacje i widowiska filmowe realizują twórcy, których staż w kinematografii jest już bardzo długi. Były to widowiska wymagające tak samo doświadczenia jak i talentu, świadczą o tym skrajność wyznaczona „*Potopem*” Jerzego Hoffmana i „*Gniazdem*” Jana Rybkowskiego. Często powroty w niedawną przeszłość miały swe skale wartości, dyskutowane i oceniane w trakcie filmowego sezonu. Możliwość ich konfrontacji, miejmy nadzieję, służyła tak twórcom jak i odbiorcom. Wnioski z całoci konkursu festiwalowego są jednak przede wszystkim w rękach twórców i ich mecenasa. Oby starczyło w nich talentów i dobrej woli.

I wreszcie cel trzeci FPFF — okazja, do rozmów o sztuce filmowej i jej problemach, o współczesności w tej sztuce i jej jakości. I tu dochodzę do sprawy, którą poruszyłam przypominając Lagów i jego tradycję. Nie było w Gdańsku miejsca na takie rozmowy, a ściślej mówiąc — miejsce było, lecz rozmów nie stało. Myślę o rozmowach serio, a więc takich dyskusjach, jakich, jeśli wierzyć słowom prezesa SFP, Jerzego Kawalerowicza, oczekiwali twórcy filmowi i jakich oczekiwali zapewne krytycy i dziennikarze, działacze kin studyjnych, klubów filmowych, domów kultury, którzy znaleźli się w Gdańsku w bardzo licznych gronie.

Lagów był miejscem burzliwych dyskusji i polemik, określonych tematami seminariów i spotkań. Gdańsk zaproponował konferencje prasowe i spotkania, które nie mogły zadowolić nikogo. Codzienne dyskusje o sześciu filmach (sic!) na raz miały

się z jakimkolwiek celem. Miały więc one bądź charakter laurkowy, bądź chamsko-kontestacyjny, bądź zupełnie przyczynkarski. Zaplanowane „poważne” spotkanie seminaryjne, uświęcone jednym mniej, drugim bardziej przygotowanym referatem i kilku głosami twórców starszego pokolenia, przy pełnym nieomal milczeniu krytyków i działaczy, miało ocenić filmowy dorobek 30-lecia. Nie doszło do tego, bo zapewne w warunkach tych i przy przyjętych postawach dojść nie mogło.

Jedna rzecz w gdańskich spotkaniach, czego nie było w Lagowie, uderzała — przedstawiciele polskiej krytyki filmowej nabrali wody w usta, wyżsi ponad to, o czym się mówiło, wyżsi ponad tych, co w naiwności swojej pytali twórców o różne dziwne sprawy i różne dziwne problemy usiłowali postawić. Runęły więc zapewne w Gdańsku marzenia twórców, iż będą mieli okazję mówić o uprawianej przez siebie sztuce. Odnosiło się wrażenie, że spotkali się ludzie mówiący różnymi językami i zajmujący się w swym życiu zupełnie różnymi sprawami. Czemu więc spotkali się w tym samym miejscu i w tym samym czasie — nie wiem. Brak zgody między twórcami i krytykami jest prawem obu tych profesji. Z polemicznego dialogu wyłącznie jednak rodzić się może twórczy ferment myśli, z młecznych pól i kokieteryjnych masek nie nie wynika. Pora może, by zacząć się wreszcie traktować choć trochę poważnie, tym bardziej, że w tradycji kulturowej między dziełem a jego odbiorcą usytuowano funkcję krytyki, ona to ma szansę oddziaływać w obie „strony”. Jest to możliwe jednak tylko wtedy, gdy działacze będą kompetentnie i odpowiedzialnie. Może w przyszłości warto by w Gdańsku pamiętać też o tym, iż w kraju naszym uprawia się młoda nauka, zwana skromnie filmoznawstwem (na liście gości, tylko jeden z nich, obok swego nazwiska, napisał słowo — filmolog, pozostali byli skromniejsi). Mimo że spotkania gdańskie nie mogą i nie powinny zresztą przerodzić się w sesje naukowe, należy im w przyszłości zapewnić bardziej odpowiedzialny ton dyskusji, jeśli w ogóle uczestniczyć w nich mają ludzie połączeni, było nie było, wspólną sprawą, która ma swój cel nadrzędny.

EWA NURCZYŃSKA

„REPUBLICA” — LIZBONA

Dziesiątki tysięcy Portugalczyków zobaczyło po raz pierwszy na ekranach swych telewizorów Lenina i usłyszało informacje o podstawowych etapach jego działalności rewolucyjnej. Przez długie lata faszystowski dyktator cenzura nie pozwalała na jakąkolwiek wzmiankę o Leninie. Reżim obawiał się wpływu, jaki wywarłaby na masę ludową idea Lenina, idea Rewolucji Październikowej, która uderzała w wszystkie siły rewolucyjne współczesności. Chociaż film przygotowany przez anglistów dokumentalistów i poszczególnych jego kadry należałyby do zaskarżenia, które nie może nie wzbudzać „słynna brytyjska obiektywność”, to jednak pierwsza informacja w telewizji portugalskiej o Leninie i jego działalności pomogła przezwyciężyć antykomunistyczne nastroje, wciąż jeszcze szerzone w niektórych rejonach kraju.

„CORRIERE DELLA SERA” — MEDIOLAN

W miejscowości wypoczynkowej Bellagio, na brzegu jeziora Como, w północnych Włoszech, odbyło się spotkanie włoskiego premiera M. Rumora i federalnego kanclerza RFN H. Schmidta. W centrum uwagi głów obu krajów znajdowały się problemy ekonomiczne Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, sytuacja w NATO oraz sytuacja w rejonie Morza Śródziemnego. W wyniku spotkania Rumor i Schmidt podpisali porozumienie, na mocy którego RFN udzieli Włochom dwuletniego kredytu w wysokości 2 miliardów dolarów z walutową rezerwą w Banku Federalnym. Zabezpieczając ten kredyt, Bank Włoski zdepotuje w Banku Federalnym, część swoich rezerw w złocie po cenie wynoszącej 80 proc. średniej wartości złota według notowań giełdy londyńskiej z ostatnich trzech lat.

„CROMOS” — BOGOTA

Policia kolumbijska wykryła w wysokich partiach gór Sierra Nevada, ogromną tajną plantację marihuany oraz skład zapasów narkotyków, przygotowanych do eksportacji. Kolumbijskie miasto Santa Maria, należące do południowej części masywu górskiego Sierra Nevada de Santa Maria, już od dłuższego czasu jest widownią ulicznej strzelaniny i zagadkowych mordów. W mieście panuje strach, który posłował przekazy tego miasta — marihuana. Jego mieszkańcy przywykli już do przerażających informacji w prasie i codziennych kronikach. Złoty, który się rano małe stają porażająco, wciąż nowe doniesienia prasy: aresztowano podejrzanych turystów, czcigodny obywatel z szanowaną rodziną, jest zamieszany w handel narkotykami. W biały dzień w handlowym centrum miasta zastrzelono agenta tajnej policji itd. itp. Pewnego wieczoru ogłaska miasto wiadomość, w którą trudno uwierzyć: w wysokich górach policja wykryła i skonfiskowała z gór 500 worków marihuany, wartosci 100 milionów peso, to jest tyle, ile kosztowałyby wybudowanie szpitala. Wykryto też cały arsenał broni, w tej liczbie dwa ultranowoczesne, szybkostrzelne karabiny automatyczne, specjalne karabiny, których używają bandyci z mafi szczytowej oraz amerykański rewolwer systemu „magnum”, praktycznie nie znany w Kolumbii, i kilka innych. Nie ma nawet w wojskowych magazynach. Sześciu tego synykatury handlarzy marihuany jest nieznany między innymi, który przyjechał do Kolumbii dwa lata temu. Nikt go nie widział, wiadomo tylko, że ma na imię Martin. Mieszka w niedostępnej miejscowości Momoronto, trzy dni drogi od Santa Maria, w najbardziej skałistym rejonie Sierra Nevada. Jest Amerykaninem, zbudował własne lotnisko w trudno dostępnym miejscu korytarz, do którego nie ma dostępu policja, ponieważ grupy Indian, pracujące dla Martina, strzegą wszystkich dróg. Regularnie dwa razy w miesiącu tajemniczy Martin, który w ogóle nie pokazuje się w zamieszanych miejscowościach, przylatuje do Kolumbii i wrócić opuszcza kraj, biorąc kurs na USA. Rząd i policja są szalone.

„REUTER” — LONDYN

Wycofanie się Grecji z organizacji NATO spowodowało wyłom w obronnym systemie tego bloku, postawiło pod znakiem zapytania zdolność działania amerykańskiej VI floty we wschodniej części Morza Śródziemnego. Dowództwo NATO ma nadzieję, iż Stanom Zjednoczonym uda się przekonać Grecję, która utrzymuje stosunki polityczne z Paktem Północno-Atlantyckim, do powrotu na łono NATO. Jednakże w wypadku, gdyby zamierzenie to spaliło na panewce — a wiele oficjalnych osobistość w Brukseli w to nie wątpi — NATO zaleci swoim specjalistom wojskowym przestudiowanie ewentualnych następstw decyzji Grecji dla systemu obronnego Paktu. Pracę ich utrudni jednak fakt, że rząd grecki nie wyjasnił szczegółowo, co miał na celu, podejmując decyzję o wycofaniu swoich wojsk z systemu polaczonego dowództwa sił zbrojnych NATO. Ten i inne znaki zapytania, stanowią ważny problem dla strategów, ponieważ w wypadku, gdy Amerykanie będą musieli opuścić Grecję, NATO musi zwiększyć ilość swoich baz we Włoszech.

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Mieszkańcy Wielkiej Brytanii popili w ubiegłym roku swoje ekonomiczne rozczarowanie w napojach alkoholowych — jeśli wierzyć, a chyba można, danym statystycznym opublikowanym w wrześniu tego roku przez Ministerstwo Gospodarki Rolnej. Na głowie mieszkańców (z mężczyznami, kobietami i dziećmi łącznie), wypadało 109 litrów piwa, 5,7 litra wina, 2,4 litra whisky, rumu i ginu. Przy tym spożycie piwa wzrosło w ciągu roku o 4,5 litra, a wódek o pół litra na głowę. W tym samym okresie czasu spadło spożycie tradycyjnego napoju Anglii — herbaty. W minionym roku Anglii jedli mniej mięsa, ryb, jaj, cukru i chleba.

(J. C.)

PIDE — międzynarodowa portugalska policja bezpieczeństwa państwa, przekształcona później w DGS — główny urząd bezpieczeństwa, była instytucją, na której Salazar opierał swoją faszystowską dyktaturę. W ciągu 50 lat istnienia, PIDE, a później DGS, zyskała sobie najgorszą sławę zarówno w Portugalii, jak i w Mozambiku, Angoli i Gwinei-Bissau. Używała wszystkich dostępnych środków dywersji, terroru i represji do mordów włącznie. Ofiary policji politycznej Salazara poddawano okrutnym torturom.

DGS rozwiązano w pierwszych dniach po zwycięstwie Ruchu Sił Zbrojnych w Portugalii. Większość kierowniczej kadry DGS i agentów aresztowano. Nazwiska najbardziej krwawych oprawców DGS, a w tej liczbie 7 dowódców dywizji urzędujących w Lizbonie, 46 dyrektorów służby bezpieczeństwa i 158 szefów specjalnych brygad DGS opublikowano w prasie. Trwają poszukiwania byłych członków tzw. „Legionu portugalskiego” i „Frontu antykomunistycznego” (ACF). W czasach reżimu Caetano te obie ultrafaszystowskie organizacje tropiły komunistów i socjalistów, i oddawały ich w ręce DGS. Dotychczas aresztowano około 60 znanych bankierów, przedsiębiorców handlowych i innych przedstawicieli wielkiego biznesu, którzy stali się ACF i finansowali DGS. Ale jeszcze wielu z nich pozostaje na wolności.

Posępne kazamaty słynnego więzienia Carias w Lizbonie były największą katedrą więźniów politycznych w ponurym okresie reżimu Salazara i Caetano. Już same ściany rozległych korytarzy przypominały mury krematorium cmentarza: po obu stronach ciągnęły się długie szeregi tabliczek z nazwiskami agentów DGS, którzy „zginęli za ojczyznę” w Portugalii, Mozambiku, Angoli, Gwinei-Bissau. W części administracyjnej więzienia kilka ogromnych pomieszczeń zawałają, od sufitu aż do podłogi akta personalne byłych funkcjonariuszy policji politycznej i tajnych agentów bezpieczeństwa, które sporządzali i kompletowali wyżsi pracownicy aparatu DGS. O poziomie „intelektualnym” agentów świadczyły rubryki w ich kwestionariuszach osobowych, wypełniane przez oficerów kadrowych DGS. Na przykład: „Ogólny stopień kultury”: „Normalny”, „Wyobraźnia”: „Normalna”, „Ogólna orientacja”: „Normalna”, itd. Ale tylko taki pracownik DGS był uznany za „dobrego”. Każdy, który miał więcej kultury i wyższą wyobraźnię, był zły. Nowych agentów DGS szybko wrzucano do pracy. Kilka dni spędzali przy biurkach, następnie przechodzili do służby śledczej.

Kiedy 25 kwietnia żołnierze Ruchu Sił Zbrojnych wdarli się do gmachu szkoły DGS, staneli w osłupieniu: wszystkie ściany pokrywały plakaty z rewolucyjnymi hasłami, na regałach

stały prace „Che” Guevary, Mao Tse-tunga i inne. W „galerii obrazów” wisiały portrety znanych portugalskich antyfaszystów: Miguela, Duarta, a także generalnego sekretarza Portugalskiej Partii Komunistycznej — Alvaro Cunhala, który zajmuje dziś stanowisko ministra bez teki w Rządzie Tymczasowym. Na tablicy szkolnej wisiał schemat pouczający jak należy „efektywnie” bić przesłuchiwanego, żeby przyznawał się do winy. Zmusić więźnia do mówienia było dla agenta DGS jednym z podstawowych warunków otrzymania awansu lub podwyższenia pensji. Dlatego pełnili swą katowską powinność z ogromną gorliwością.

Teraz w więzieniu Carias oczekują

metrów. Na wprost schodów, w betonowej ścianie, mający w mroku wąską szczelinę. Oficerowie podnoszą z podłogi nadmuchliwą łódź gumową, przeciskają ją przez szczelinę i nieco poniżej poziomu spuszcza ją na wodę. Następnie proszą żebyśmy zajęli miejsca w łodzi. Robimy to z uczuciem niepokoju. I oto mamy przed sobą ogromny, na wpół zatopiony bunkier.

— Coż to jest? — pyta jeden z fotoreporterów.

— Wracano tu najbardziej twarde więźniów, którzy odmawiali zeznań — wyjaśnia oficer. — Bunkier napełniano wodą. „Wanny” trwały po kilka godzin, a nieraz dni. Następnie na wpół żywego więźnia wyciągano

PORTUGALIA

TORTURY „W A N N Y” W WIĘZIENIU CAZIAS

na wymiar sprawiedliwości oprawy i mordercy z DGS. Niedawno władze portugalskie zezwoliły grupie dziennikarzy i fotoreporterów kilku pism zachodnich na obejrzenie więzienia, a nawet na bezpośredni kontakt z więźniami. Wielu więźniów nader ochoczo nawiązywało rozmowy z dziennikarzami, kończące się stereotypem hitlerowskich zbrodniarzy wojennych: „Jesteśmy niewinni! Kazali nam to robić!”

— Kiedy mieliśmy już opuścić więzienie — opowiadają dwaj dziennikarze z brytyjskiego „Sunday Times Magazine”, Alex Mitchell i Roger Loy — oprowadzający nas oficer powiedział:

— Teraz pokażemy panom coś, co pozostaje w pamięci na zawsze: „podwodne więzienie”.

Dwaj oficerowie prowadzą nas do starej, średniowiecznej części więzienia, przylegającej do muru więziennego. Z zalanego ostro światłem podwórza schodzimy wprost do grobowych ciemności. Po chwili, gdy oczy przywykły do mroku, ujrzeliśmy pomieszczenia przypominające schron przeciwlotniczy. Na podłodze leżał zdechły kot i rozkładające się szczątki jeża.

— Tego nikt nie przeżył — mówi jeden z oficerów — odpowiadając na nasze nieme spojrzenia.

Posuwamy się kilka kroków i stajemy nad wąskimi schodkami z betonu, gładymi gdzieś głęboko pod ziemią.

— Zejdziemy — mówi nasz przewodnik.

W ślad za nim zaczynamy ostrożnie stąpać po wąskich i krętych stopniach, mijając po drodze kilka słabo wentylowanych szybów. Schodzimy dość długo, by wreszcie stanąć w niedużym pomieszczeniu na głębokości około 40

na górę i kontynuowano „śledztwo”. Podwodne więzienie „pracowało” dzień i noc, głównie za czasów Salazara. Później, kiedy w 1968 roku zastąpił go Caetano, więźniów politycznych poddawano bardziej wyrafinowanym torturom, stosując metody oparte na najnowszych zdobyczach „medycyny”.

Portugalski dziennikarz, Carluz Coutinho, był jednym z więźniów, których poddano torturze snu. Oto, co opowiada:

— Aresztowano mnie 27 lutego 1973 roku o godzinie 8,30 rano, w drodze do pracy, na oczach przechodniów. Po rewizji w domu, w czasie której nie nie znalaziono, agenci DGS wepchnęli mnie wraz z żoną i 15 miesięczną córeczką do samochodu policyjnego i odwieźli do więzienia Carias, przekazując „oddziałowi badań śledczych”. Po wykonaniu zdjęć fotograficznych i zdjęciu odcisków palców, odprowadzono mnie do celi nr 20, gdzie dokonywano wyrafinowanej tortury polegającej na przerywaniu snu. Trwała ona bez przerwy 190 godzin. Osiem dni... Torturujący mnie agent DGS o wyglądzie kata powiedział, że „wie o mnie o wiele więcej, niż ja sam” i „gdymby to zależało od niego, to zrobiłby ze mnie kotlet”.

Był to tzw. „zły” oprawca. Co pewien czas wymieniał go „dobry”, który był bardzo correct i wciąż powtarzał, że spełni każde moje życzenie, jeśli zgodzę się „współpracować”. Celem tortur była dużym, jasnym pokojem o białych malowanych ścianach i jaskrawożółtej podłodze. Zeby zwiększyć rezonans dźwięków, sufit miał kształt kopuły. Na jednej ze ścian widniała barwna plaskorzeźba w kształcie wazy; a w niej — dwa ukryte megafony. W trzecim dniu tortur po-

wiedział mi o nich „dobry” oprawca. Wyjaśnił, do czego są przeznaczone, usiłując udowodnić, jak dalece „pomysłowa może być tajna służba portugalska”. Przy drzwiach znajdował się sygnał alarmowy. W pokoju było tylko jedno okno. Poza tym kilka reflektorów ogromnej mocy i parę mebli: stół i dwa krzesła — jedno dla przesłuchującego, drugie — dla więźnia.

Rano, kiedy byłem najbardziej śpiący, starałem się przezwyciężyć senność, paląc papierosy i chodząc wokół stołu. Był to jedyny sposób, żeby nie zasnąć. Kiedy tylko zamykały mi się oczy „dobry” agent DGS pukał palcami w stół i mówił:

— Ej, nie zasypiaj!

„Zły” agent uderzał z całej siły dłonią w stół i rzucał stek wymyślnych, chamskich obelg. Starając się oddziaływać na mnie psychologicznie agenci włączali do akcji moją żonę i córkę. Nieraz próbowałem się dowiedzieć o ich losie, ale agenci DGS odmawiali odpowiedzi. „Zły” napomknął czasem, że widział jak je bito i mówił, że dalej będzie jeszcze gorzej, jeżeli będę milczał.

Na drugi dzień „opracowywali” mnie już czterech agenci policji politycznej, w tej liczbie również szef oddziału specjalnego DGS — Capela. Nie dawał mi chwili spokoju. Wieczorem poczułem, że jestem śmiertelnie zmęczony, znów zacząłem palić papierosy i chodzić wokół stołu. O drugiej czy trzeciej nad ranem oczy zamykały mi się same. Wtedy agenci DGS zaczęli mnie bić. Każdemu ciowsowi towarzyszył ogłuszający krzyk oprawców, od którego pękała mi głowa. Dopiero o świcie udało mi się przezwyciężyć sen. Ale przede mną była druga noc... W miarę upływu godzin groźby agentów stawały się coraz bardziej złowieszcze. O północy powieki miałem jak z ołowiu. Nie mogłem ich otworzyć. Nieustannie, jaskrawe, oślepiające światło reflektorów raziło oczy do potwornego bólu. Do pokoju weszło jeszcze kilku oprawców. Torturowali mnie po kolei. Od tej nocy najmniejszy hałas w pokoju, potęgowany rezonansowym sklepieniem, wywoływał nieopisany ból głowy. Nad ranem zaczęli znów opowiadać o torturach zadawanych mojej żonie i córce. O świcie pragnienie snu nieco zelało. Spuchły mi jednak nogi. Bolały mięśnie, całe ciało zaczęło mi ciężać jakby nalane ołowiem. Wieczorem popadałem już w stany halucynacji. Słyszałem krzyki człowieka, którego katowano gdzieś obok, uderzenia w ściany, krzyki torturowanej żony i dziecka. Co chwila zapadałem w głęboki sen, ale budzono mnie natychmiast...

Najgorszy był piąty dzień. Zmuszono mnie do wypicia jakiegoś płynu o smaku przypominającym kawę. W czasie następnych 3-4 godzin ogarnęło mnie na przemian uczucie wielkiej radości i głębokiej depresji. Wzmogły się stany halucynacji wzrokowej i słuchowej. Co działo się później, nie wiem. Przypominam sobie, jak przez mgłę, że do końca ósmego dnia torturowano mnie bez wytchnienia. Nie mogłem już kontrolować ani swoich ruchów, ani postępów, i czulem, że tracę rozum...

JERZY CZECH

• ZNÓW SPRAWA SIFAR

• KRYZYS WE WŁOSZECH

W centrum uwagi włoskiej opinii publicznej znajduje się nadal memoriał min. obrony Giulio Andreottiego o zakulisowej stronie działalności kontrwywiadu wojskowego — CID.

Jak wiadomo, CID został powołany do życia w listopadzie 1965 roku na miejsce skandalicznie skompromitowanej SIFAR — Wojskowej Służby Informacyjnej — powiązanej z działalnością neofaszystowską. To właśnie SIFAR sporządziła nielegalnie dziesiątki tysięcy akt personalnych włoskich działaczy politycznych, działaczy związków zawodowych i innych postępowych organizacji społecznych, a jej byłym szef, gen. Lorenzo, próbował dokonać przewrotu państwowego.

W 1967 roku zbadanie sprawy SIFAR powierzone specjalnej komisji parlamentarnej na czele z gen. gen. Beolquini i Turrini oraz doradcą rządowym Andrea Luro. Tegoż roku komisja opracowała i sporządziła obszernie sprawozdanie, w którym ujawniła wywrotową działalność SIFAR. Kilka dni później okazało się, iż fragmenty sprawozdania dotyczące neofaszystowskiej działalności tej organizacji, a więc ponad połowa wyników pracy komisji — zniknęły bez śladu. Może więc zawierały tajemnice wojskowe?

— Absurd — powiedział gen. Beolquini w wywiadzie udzielonym korespondentowi tygodnika „Mondo” —

nie było tam tajemnic wojskowych. Po prostu w trakcie prac komisji wyszło na jaw, iż nazwiska wielu działaczy politycznych są tak skompromitowane, że ktoś nie chciał, by wszystko to przedostało się do wiadomości opinii publicznej.

Komentując tę część memoriału Andreottiego w której mówi on, iż akta sporządzone przez SIFAR są nadal przechowywane w „specjalnym pomieszczeniu” ministerstwa obrony, gen. Beolquini zauważył, że dla przechowania tych dokumentów potrzebna była „jeśli nie cała powierzchnia miasta, to w każdym razie ogromna hala”. Nasze informacje — powiedział dalej gen. Beolquini — o ilości tych kompromitujących SIFAR akt, nie są całkiem ścisłe. W każdym razie SIFAR zalażyła 157.000 imiennych i przedmiotowych akt personalnych działaczy politycznych, niektóre z nich są wprost ogromne, obejmując po cztery tomy. Poza tym istnieją jeszcze problemowe akta. Jest ich około 40.000...

Sprawa SIFAR kojarzy się bezpośrednio z groźbą odradzającego się faszyzmu we Włoszech i falą zbrodni neofaszystowskich bojówek. Ostatnia — wybuch bomby na antyfaszystowskim wiecu w Brescii, 28 maja tego roku, który spowodował śmierć osmiu osób, a 95 zostało ciężko rannych, wstrząsnął całą postępową opinią Włoch.

Na wybuch bomby w Brescii siły demokratyczne dały bezprecedensową, masową odpowiedź: 20 milionów robotników włoskich wyszło na ulice. Strajk powszechny sparaliżował cały kraj. Nie widzieliśmy jeszcze Włochy tak ogromnej mobilizacji mas, ogarniętych gniewem i wolą osądzenia sprawców zbrodni oraz jej współwinnych z policyjnego i państwowego aparatu. Wyższych przedstawicieli władz państwowych, przybyłych do Brescii na pogrzeb ofiar zamachu bombowego neofaszystów, tłumy powitały gwizdami i okrzykami protestu.

Ostatnio we Włoszech znów zastrzyła się sytuacja polityczna. Tematem, który powrócił na łamy prasy światowej, jest ogólny kryzys, jaki przeżywają dziś Włochy, kryzys polityczny, ekonomiczny, socjalny i moralny jednocześnie. Wielu obserwatorów politycznych nie wyklucza nawet upadku rządu tzw. lewego centrum, który wykazał całą nieudolność w znalezieniu wyjścia z ciężkiego załamania ekonomicznego.

Koalicja rządowa lewego centrum operująca się już od ponad dziesięciu lat na współpracy partii chrześcijańsko-demokratycznej i socjalistycznej, nie rozstrzygnęła ani jednego z nakreślonych projektów modernizacji i reform socjalnych, ograniczając się do administrowania, które bije rekordy niegospodarności i korupcji.

System polityczny oparty bez mała trzydziście lat na hegemonii konserwatywnej Włoskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, popieranej przez Watykan i warstwy posiadające, nie jest zdolny do rozstrzygnięcia złożonych i wciąż zaostających się problemów, które stanęły dziś przed społeczeństwem włoskim. Nieudolność, korupcja i biurokratyzowanie aparatu państwowego, dominujące wpływy burżuazji i wielkich monopol, sprze-

niewierzenie się interesom mas pracujących — wszystko to, i jeszcze wiele innych elementów, spowodowało, iż załamanie społeczno-ekonomiczne we Włoszech przybrało charakter stały. Ujawnia się ono we wszystkich dziedzinach życia politycznego, socjalnego i ekonomicznego.

Ogólny kryzys we Włoszech niepokoi NATO, gdyż może spowodować niepożądane dla Paktu Północno-Atlantyckiego zmiany w sytuacji wewnętrznej politycznej kraju, a przede wszystkim doprowadzić do zaostrożenia walki klasowej i w konsekwencji — do zmian w strukturze władzy. W związku z tym Włoska Partia Komunistyczna, włoska klasa robotnicza oraz wszystkie siły demokratyczne i postępowe w kraju wyrażają zaniepokojenie, iż w tej sytuacji NATO zechce mocniej włączyć Włochy w orbitę własnych interesów. A to z kolei nie tylko uzależni Włochy od zagranicznej dominacji, ograniczy suwerenność narodową, lecz także pogłębi obecne trudności ekonomiczne.

Występując ostatnio na wiecu w Bolonii z okazji święta „Unity”, generalny sekretarz Włoskiej Partii Komunistycznej, Enrico Berlinguer, powiedział m.in.: „Teraz, kiedy kraj przeżywa krytyczne chwile, pełne niepokoju i ryzyka, partia komunistyczna jest mocną, wiodącą siłą, gotową do każdej próby i każdej walki”. Podkreślił on także, że partia komunistyczna, będąca partią mas, partią klasy robotniczej, jest trwałą barierą przeciwko wszelkim antydemokratycznym intrygom. W centrum naszych działań — powiedział Enrico Berlinguer — znajduje się w tej chwili problem rządu demokratycznego, opartego na współpracy wszystkich sił społecznych.

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

GNIAZDO DRUKARSTWA

Gniazdo polskiego drukarstwa znajduje się w Krakowie, co, oczywiście, nikogo nie zdziwi, ponieważ Kraków jest w ogóle „gniazdozbiorem” — drukarstwa, prasy, nauki... Nie więc dziwnego, że właśnie Wydawnictwo Literackie uczciło pięćsetlecie wydania przez Kaspiera Straubego „Almanachu”.

Był to rok 1474, rok urodzin Kopernika i rok śmierci Jana Kantego, żarliwego chwalcę pracownictwa i klasztorów. Ten właśnie pierwszy druk, jaki wytłoczono (po łacinie zresztą) na ziemiach polskich, uważa się za początek polskiego drukarstwa.

Później mawiano — „sztuki drukarskiej”. Dziś jest to przemysł poligraficzny, który ze sztuką mało ma wspólnego. Dawniej książkę pieczętowało się, a dziś się ją produkuje. Dziś wielka drukarnia dzielowa zyskuje na przykład cały nakład książki, przestawiając strony według tajemniczego „klucza” i... dyrektor owej drukarni, na telefon przerażonego autora, który spotyka w księgarniach kaleki egzemplarzy, odpowiada: „A co tam za różnica? Jak trafi na amatora, to sobie pańska książkę rozetnie i sklei po porządku.”

Myszę, że to zgrabne zdanie dyrektora dostatecznie jasno maluje różnicę między sztuką drukarską, a poligrafią. Dawniej wszystkie książki były „dla amatora” — dzisiaj nie-które.

Nie dziwiło mnie zatem, że w jubileuszowej książce Wiktora Frantza, książce wydrukowanej zresztą bardzo pięknie, znalazła się mała karteczka „erraty”. Symptomatyczne, choć w takim właśnie wydawnictwie podobny „kiks” był niedopuszczalny.

Autor książki „W gnieździe drukarstwa polskiego” przewidywał zresztą taką możliwość i w dowcipnej stopce książkę napisał: „Drukarnia Narodowa (...) dołożyła starań, aby utrzymać druk na poziomie szesnastowiecznych tłoczní”. Tak, tak! Wydrukować książkę na poziomie sprzed czterystu lat jest dziś dowodem niesłychanej sprawności.

Włóczęga Frantz — znany ze swej poprzedniej książki jako doskonały gawędziarz i znawca drukarstwa — snuje opowieść o pierwszych drukach. Nie tylko polskich zresztą. A ponieważ wnosi Frantz w swoją książkę poprawkę do Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, warto zacząć właśnie od Gutenberg.

Otóż WEP podaje, że: „Po długoletnich przygotowaniach wydał Gutenberg w 1455 roku Biblię 42-wierszową — arcydzieło sztuki typograficznej”. Jak wiadomo wynalazek Gutenberg polegał na zastosowaniu ruchomych czcionek, odlewanych przy pomocy specjalnego urządzenia — zestawianiu ich w kolumny oraz odbijaniu dowolnej ilości kart z jednego

składu. Nie w tym rzecz jednak. Otóż Frantz pisze, że właściwa historia drukarstwa zaczęła się nie od Biblii, a parę lat wcześniej, od kalendarza, a raczej tablicy astrologicznej. Wydrukował ją Gutenberg w 1447 roku. A jeszcze wcześniej — bo w 1455 — ukazał się pierwszy druczek, zawierający niemiecki tekst zatytułowany „Gedichtes vom Weltgericht”.

Tak się składa, że i krakowski „Almanach” Straubego był czymś w rodzaju ściennej kalendarza. Potem bawarski drukarz wytłoczył jeszcze w Krakowie trzy książki — tyle się w każdym razie zachowało. Ciekawa rzecz, ale o pierwszym drukarzu, który na ziemiach polskich tłoczył księgi, nie byśmy nie wiedzieli, gdyby nie... romans. Ale imię Kasper wdał się w romans z niejaką Martą z Czarnej Wsi i z tego powodu znalazł się w aktach konsystorskich. Mówiąc językiem współczesnym, sąd nakazał mu płacić alimenty (16 groszy rocznie) „pro educatione pueri” czyli na wychowanie chłopca.

Rozrywkowy charakter pierwszego drukarza daje o sobie znać i w innych aktach sądowych XV-wiecznego Krakowa. Niedługo zresztą bawił w Krakowie — „powędrował dalej i słuch o nim zaginął” — pisze Wiktor Frantz.

A potem drukiem zajęli się inni. Józef Haller — krakowski handlarz win może i nie wie-

dział, że Gutenberg używał do tłoczenia ksiąg starej prasy do tłoczenia win... Ale wpadł na pomysł, żeby doktorów i profesorów krakowskiej wszechnicy nie tylko poić, lecz dostarczać im także strawy duchowej. Wszak zarówno wino jak i książki idą jednako do głowy. Zwłaszcza gdy tłoczy je ta sama prasa.

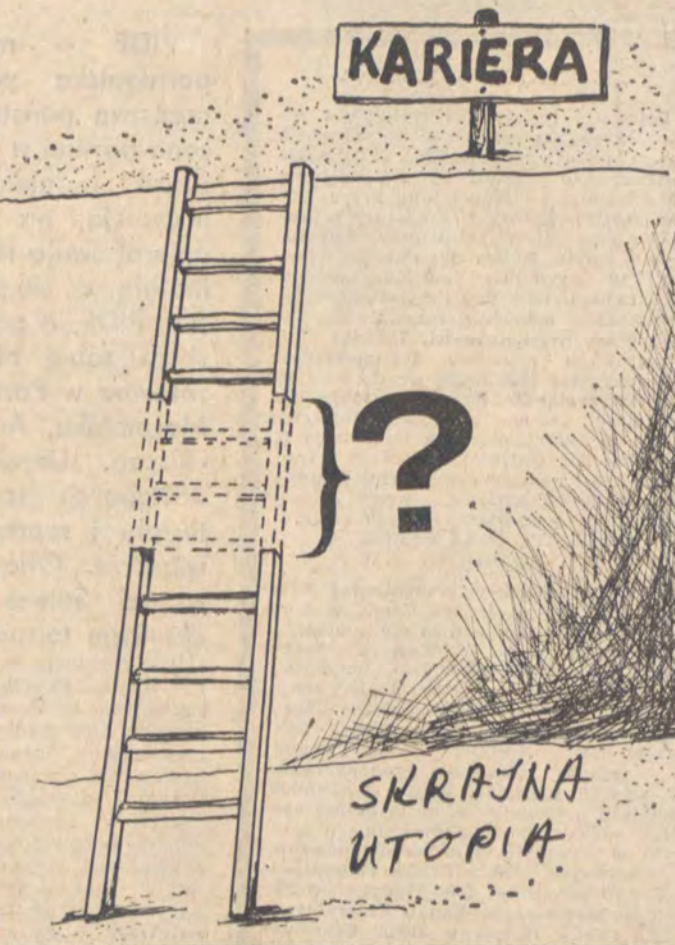
I jeszcze jedna ciekawostka. Jak wiadomo pierwszy krakowski druk był tekstem łacińskim. Zanim jednak Florian Ungler zaczął drukować książki po polsku — pojawia się w Krakowie niejaki Fiol, który zaczyna tłoczyć księgi cyrylicą. „Wychodzi na to — pisze Frantz — że książki ruskie ukazały się w Krakowie przed polskimi”.

I tak się toczy pasjonująca opowieść Wiktora Frantza o drukarzach Krakowa. Ta pięknie wydana i pasjonująca napisana historia „czarnej sztuki” powinna się na dobrą sprawę znaleźć we wszystkich bibliotekach szkolnych. Nie znajduje się, bo oprócz bibliofilskiego „wystroju” dano również książkę bibliofilski nakład. Informacja o nakładzie na ostatniej stronie przeczy nieco słowom Estreichera ze strony pierwszej: „Druk artylerii myśli...” Amunicji za mało.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

JUŻ W DRUGIM PÓŁROCZU...

Nie jest to ładne brać wierszówkę za coś, co już wcześniej napisał ktoś inny, inaczej mówiąc: posługiwać się zbyt długimi cytataми. Ale mam oto przed sobą zmiannę tak wzruszającą, że muszę ją przytoczyć w całości za „Expressem Ilustrowanym” z 15 sierpnia:

PERFUMOWANE MYDŁO W POCIĄGACH

„Skończą się już wkrótce kłopoty pasażerów PKP z myciem rąk podczas podróży. Dotychczas stosowane mydło zare zastąpi niebawem nowoczesne mydło w płynie, podobne do szamponu, lekko perfumowane. Recepturę nowego mydła w płynie dla PKP opracowali inżynierowie — chemicy z zakładów „Polle-na” w Jaworze. Dostawy nowego mydła w płynie dla PKP z Zakładów Chemii Gospodarczej „Polle-na” w Jaworze przewidziano już w drugim półroczu br.”

Gdyby powyższą notatkę przeczytał głośno przed mikrofonem Federowicz, to byłby śmiech jak stąd do Torunia. „Skończą się kłopoty pasażerów PKP” — cha cha cha! „Dotychczas stosowane mydło” — hi hi, ojej, nie moge! Nie jestem jednak Federowiczem i nie mam przy sobie mikrofonu, za to jeżdżę pociągami dużo — dużo. Panowie, po co ta mowa?

Inżynierowie — chemicy opracowali specjalną pachnącą nowoczesną recepturę i „już w drugim półroczu” mydło zacznie pachnieć. Pachnidła znane w starożytnym Rzymie, a także parę głupich tysięcy lat wcześniej w Asyrii, nie mi jednak do tego i niech sobie inżynierowie chemicy wymyślają dalej, jeśli nie ciekawszego nie przychodzi im do głowy. Niestety — kłopoty pasażerów się nie skończą.

Bo najpierw — chcąc umyć w pociągu ręce — trzeba wejść do umywalni, która w naszych wagonach jest zawsze jednocześnie ustępem i dlatego wejść do niej nie można. Chyba że ktoś ma nieprzemakalne obuwie i że podwinie uprzednio nogawki. Jeżeli to zrobi i wejdzie do środka — to jeszcze musi tam znaleźć kran, a nie miejsce po kranie, utraconym przed tamtą wojną. Jeżeli znajdzie kran — to musi jeszcze działać pedał, otwierający spływ wody, a przecież te pedały nie działają. A może i działają, tylko nie można tego stwierdzić, bo i tak w zbiorniku nie ma wody. Rozumowanie jest więc słuszne i kompleksowe: po co kran i pedał, skoro nie ma wody? Po co woda, skoro nie ma kranu?

Zaś co do mydła w stanie płynnym, to potrzebna jest do niego szklana, wytrzymała gruszka. Wiem, bo widziałem raz taką — jakieś dziesięć lat temu, pomiędzy Tczewem a Olsztynem. Coś w niej nawet chlupotało, nie miałem jednak odwagi sprawdzić, co tam było. Gdyby tam wpuścić mydło, pachnące jak sam bulgarski ekstrakt różany to by i tak tego zapachu zagłuszyły inne wonie, składające się na znaną Czytelnikom atmosferę oświeczonych kolejnych pomieszczeń. Nie wiem jakich by trzeba inżynierów, żeby wymyśliли funkcjonalne, sprawne i łatwe do utrzymania w czystości urządzenia. Żeby wreszcie wyrzucić w ościeża nie pamięci, nie porcelanowe szczerbate straszdyki i te zgniłe deski, nie dające się podnieść, ech — nie dające się dotknąć, obrzydliwe.

Kłopoty pasażerów się nie skończą. Pasażerowie jeszcze będą mieli kłopot z wytarciem rąk — bo jak? O spodnie? Ręczników nie ma i nie radziłbym ich wieszać — już je widzę oczami wyobraźni. Za granicą wymyślono ręczniki papierowe do jednorazowego użytku. Może i nasi inżynierowie kiedyś to wymyślą ale co? — takie ręczniki przecież nie dojechałyby nawet z Łodzi do Koluszek! Zbyt lakoma rzecz, zwłaszcza wobec trudności w legalnym nabyciu papieru toaletowego.

Pfu! sam się wzdrzgam pisząc o tym wszystkim. Kokie-towanie pachnącym mydłem uważa się za lekką kpinę i za chęć nakładania blanszu i różu na brzydkie przysze na nosie. Zaczynając od wyłożenia ścian i podłóg latwo zmwalną masą od prostych — ale czystych! — umywalk, od kranów bez rdzy i wiekowego brudu, od zbiorników pełnych zawsze prawdziwej, czystej wody. To będzie bardzo, bardzo dużo; niech to się znajdzie — coż za śmiałe marzenie! — w każdym wagonie i niech ktoś tam zagłąda uzbrojony w szczerki, ścierki i hydranty. Niech wreszcie znajdzie się ktoś w szaczkowym, bogatym w tradycje kolejańskim mundurze, kto nie powie, że to do niego nie należy. Dopiero wtedy — wtedy co? Bedziemy szczęśliwi? Nie: dopiero wtedy zgłosimy dalsze żądania. Może nawet zachce nam się pachnących mydeł...

MARCIN RODAK

CWIEK

BANK MRUGACZA

Bardzo dawno temu byłem świadkiem sceny, która dla mnie osobiście stała się symbolem pewnej postawy. Było to w dużej kawiarni, gdzie przygrywała orkiestra. Przy stoliku, stojącym w bezpośredniej bliskości parkietu siedział samotnie pułkownik. Na parkiecie młodzież tańczyła w sposób umiarkowany, a w nowoczesny jak na ówczesne czasy. Pułkownik — pamiętający czasy innych tańców — patrzył na młodych z wyraźną niechęcią zmieszana z lekkim obrzydzeniem. Wreszcie nie wytrzymał, wstał, odwrócił krzesło i usiadł tyłem do parkietu.

Jak nie możesz czemuś przeciwdziałać, to udawaj, że tego nie ma — pomyślałem sobie. Nie wydaje mi się to postawą godną pochwały i szerokiego stosowania, ale — nie mniej — jest to postawa dość często stosowana w życiu. Są bowiem zjawiska, którym trudno przeciwdziałać się, ale których nie można też ignorować. Na przykład moda. Można sobie pozwolić na luksus bycia niemodnym, ale to w naszym świecie nie zmienia. Z modą walki nikt jeszcze nie wygrał. Wprawdzie młodzież od dawna dąży do tego, aby być inną, aby odróżniać się od dorosłego społeczeństwa, ale jest to dążenie bezskuteczne, gdyż — po pierwsze — dorośli niezwykle chętnie przejmują elementy mody młodzieżowej, a — po drugie — dając do wyodrębnienia sama młodzież uformuje się zbyt dokładnie, stając się jednako w swojej masie.

Oczywiście, kiedy mówimy modę, to myślimy przede wszystkim o ubiorze. Niestety, mody panują również i w innych dziedzinach życia. Niedawno Michał Radgowski w „Polityce” podjął się trudnego zadania opisanie i scharakteryzowanie mody na „szaszłykarnie”, „plackarnie” i „kibelbasiarnie”. Do tego opisu można dodać jeszcze tylko modę na „barobusy”, które są połączeniem wraku autobusu z budką z piwem wyposażoną w elektryczny ruszt do pieczenia

wszystkiego. Najczęściej jednak piecze się kiełbasę z wyjątkiem, choć napisy zapraszają na szaszłyki, kurczaki i inne smaczności. Kiedyś brakowało restauracji — stwierdza M. Radgowski — dobre są i takie budki, aby tylko były czyste, dobrze utrzymane, estetyczne i aby w nich podawano tekturowe kubeczki do piwa oraz noże i widelce do tego, co usmażono aktualnie na elektrycznych rożnach. Oby!

Moda jest wszechogarniająca i wszechwładna. Nie oszczędzi nikogo, dotrze wszędzie i będzie panowała, póki nie nadejdzie jej koniec, a wraz z nim nie pojawi się moda na coś innego. Jak na razie mamy wszechpanującą inną modę. Modę na banki. Tak więc mamy bank krwi, bank miast, bank alimentów, bank pomysłów, mamy też słynny bank informacji Jacka Gmocha. W tym „ubankowaniu” kraju jakoś zapomniano, że jest jeszcze Bank Narodowy, Bank Handlowy, Bank Inwestycyjny, Bank Rolny, a także Bank PKO oraz inne PKO, które jak głosi wielki neon w Łodzi mieście jest moim bankiem. Jestem wdzięczny PKO, że pomyślała o mnie i że w tej inwazji banków na Polskę, zatroszczyła się też o to, abym i ja miał swój bank. Serdecznie dziękuję!

Zupełnie nie wiem skąd nagle u Polaków wzięła się taka tęsknota do banków. Podejrzewam, że przyczyną są chyba westerny. Nie mam nie przeciwko westernom. Bardzo je nawet lubię, gdyż poza tym co by się o nich nie mówiło są to filmy dydaktyczne, gdzie zawsze dobro zwycięża zło i przestępca ponosi zasłużoną karę. Z westernów jednak dowiedzieli się współcześni Polacy, że w każdym najmniejszym nawet miasteczku Dzikiego Zachodu nieuchronnie muszą być dwie instytucje: saloon i bank. W saloonie rozgrywa się malownicze bójki, a w bankach brzydcy kowboje rabują pieniądze, aby bohaterzy mogli ich ścigać i pokonywać. Nie-

stety, z naszych tak licznych banków trudno coś ukraść. Pomysł na przykład kradnie się znacznie wcześniej niż zanoszą się do banków. Trudno byłoby obrabować na przykład taki bank miast.

Moda na banki dotarła nawet na wieś polską. Wzorem Jacka Gmocha bank informacji założył sobie naczelnik straży pożarnej w N. — Sebastian Mrugacz. Jest to moim zdaniem bank najprościej skonstruowany i najsukceszniejszy działający. Sebastian Mrugacz bywa dość często w stolicy gminy, gdzie ma wielu znajomych. Jako emerytowany rolnik, na utrzymaniu syna, ma sporo czasu, który dzieli między łowienie ryb, pracę społeczną i wywiadówczą. W stolicy gminy porobił intratne znajomości wśród osób mających stosunki w stolicy powiatu. W gminie, choć innego banku poza Bankiem Spółdzielczym nie ma, też chcą wiedzieć, co ich ewentualnie czeka i chcą być na wszystko przygotowani. Osoby ustosunkowane w powiecie zbierają więc skrupulatnie różne informacje, plotki, zapowiedzi czyli to wszystko, co w dużych miastach nazywa się przeciekami i w oparciu o ten materiał kształtują swoją orientację. Sebastiana Mrugacza interesują przede wszystkim wszelkie zapowiedzi strażackich ćwiczeń. Gdy w gminie wywaha, że mają być ćwiczenia kontrolne, nie spocznie aż dowiędzie się, dokładnego ich celu i terminu. Powraca wtedy do N. i organizuje przygotowania. W wyniku działania banku Sebastiana Mrugacza ochotnicza straż pożarna z N. zawsze zajmuje pierwsze miejsce, wyprzedzając nawet straż gminną. Strażacy Sebastiana Mrugacza już na długo przed sygnałem alarmu ćwiczebnego stoją w pogotowiu w sieniach swoich domów i dlatego też mogą być tak szybko na swoim posterunku.

Bank Sebastiana Mrugacza działa według mnie bardziej skutecznie od banku Jacka Gmocha, gdyż ten ostatni poszkapał sprawę z Finami, nie interesując się przed meczem eliminacyjnym do mistrzostw Europy rywalami naszej piłkarskiej jedenastki. Widac srebrni medalistów byli tak pe-

wni siebie, że uznali bezcelową informacyjną penetrację przeciwnika. I tu bank Jacka Gmocha naruszył podstawową funkcję każdego przyzwoitego banku.

Otóż banki nie tylko gromadzą różne dobra, ale też obracają nimi w taki sposób, aby osiągać jak największe korzyści dla tych, którym służą. Bank gromadzący li tylko walory, a nie obracający nimi dla osiągnięcia korzyści powinien splajtować. Płajta banku Jacka Gmocha polegać będzie na tym, że zgromadzonych w nim informacji nie będzie miał kto spożytkować. Bank Sebastiana Mrugacza, choć nie organizowany na żadnych świadomych zasadach, a działający spontanicznie, nadal będzie funkcjonować. Strażacy z N. nadal bowiem będą chcieli być pierwszymi w gminie, a nasi piłkarze zadowolili się — jak to pokazali w trzech kolejnych meczach — srebrnym medalem.

Podejrzewam, że Sebastian Mrugacz ma wielu naśladowców, choć bowiem nie nastawia chętnie ucha na wszelkie przecieki. Nie wszyscy tylko potrafią być właściwie spożytkować. I dlatego wszelkim ewentualnym naśladowcom Sebastiana Mrugacza przypominam, że u nas idea banku opiera się na trzech zasadach: gromadzeniu wolnych pieniędzy i kredytowaniu z nich różnych przedsięwzięć, organizowaniu obiegu pieniądza i prowadzeniu wszelkich rozliczeń oraz kontroli procesów zachodzących w gospodarce.

A więc może by tak z tymi bankami nie przesadzać?

Ale to i tak nie pomoże. Moda na banki ma bowiem swój początek, punkt kulminacyjny, czyli rozkwit i będzie miała swój koniec. Jak każda moda.

MAGAZYN

PRZYJEMNA DECYZJA

Pewien nasz znany Reżyser filmowy pragnął, dla dobra swojej twórczości, poznać odcienie życia klasy robotniczej, zastosował niewinny podstęp. Włożywszy dla niepoznaki damski kapelusz i ciemne okulary, zatrudnił się on jako pomoc domowa u wielodzietnej rodziny robotniczej. Próbnym okresem miał trwać jedynie kilka miesięcy, lecz już wkrótce stosunki między reżyserską „gospośnią” a gospodarzami i ich pociechami ułożyły się tak znakomicie, że ku obustronnemu zadowoleniu został przedłużony na stałe. Od tej pory nasz Reżyser zajmuje się twórczością filmową tylko raz w miesiącu, w czasie tzw. „wychodnego”.

MYŚL Z FILADELFI

Naukowcy filadelfijscy po latach spokojnych rozmyślań doszli do wniosku, że czarno-biała reprodukcja nie może nigdy oddać bogactwa barw oryginału, o ile jest on kolorowy.

DLUGIE NA KRÓTKIE

Nad Notacją odbył się finał ogólnopolskiego konkursu na najlepsze opowiadanie własnymi słowami.

wami dowolnego utworu filmowego. Pierwsze miejsce zajął Zych Prawy z Orawy, który potrafił zmieścić treść wszystkich odcin-

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

ków „Janosika” w jednym krótkim ale dosadnym zdaniu.

NASZE PROPOZYCJE

Bardzo ciekawy film mógłby powstać o figlach marynarzy. Utrzymany oczywiście w poważnym tonie scenariusz, powinien napisać ktoś, kto kocha i rozumie matrosów. Z kolei przewid-

jący reżyser, eliminując rzeczy wesołe, mógłby nakręcić z tego piękny i smutny film o ciężkiej i pożytecznej pracy ludzi morza, o ich chorobach zawodowych i o zmartwieniach, których przecież nikomu nie brakuje. W ten sposób, przy wspólnym wysiłku powstałoby wreszcie znaczące dzieło filmowe, udowadniające, że marynarze nie mają głowy do figliów.

JĘZ W ŁÓŻKU

Znana zachodnia gwiazda filmowa Paulina Volante była zrozpaczona, gdyż przez kilkanaście kolejnych nocy znajdowała w swoim łóżku jeża. Jakaś była jej ułga, gdy wreszcie znalazła w łóżku młodego zoolożę, który w kulturalny sposób przeprosił ją za swoje niestosowne żarty.

CO BĘDZIE DALEJ?

Na zachodzie coraz większą popularnością cieszą się filmy, które pod pozorem naukowym wprowadzają biedne dzieciaki w skomplikowane sprawy seksu. Doszło już do tego, że pewna dwunastoletnia dziewczynka z Gaskonii, sama, bez niezyj pomocy potrafiła określić pięć swojego nowego tatusa.

DLA WPRAWY

Nawet na urlopie z nudów dołki kopie.

W MUZEUM

I w muzeum bohomyzy Czesem też znajdują azył...

SA

Są boginie i bogowie, Co istnieją tylko w ... głowie.

NA ZIEMI

Na naszej Ziemi ogrzewanej Słońcem Trudno jest czasem związać koniec z końcem.

ZDAJE MI SIĘ

Zdaje mi się, że żyrafa To jest taka boska gaffa!

NIESKOŃCZONOŚĆ

I w akwarium małej rybki Świat nie kończy się przy szybie.

ROMAN GORZELSKI

DOPEŁNIENIE

Z planu miasta nie wyczytasz zdarzeń. Potrzebni są jeszcze plotkarze.

O CUDACH

Są na naszym globie kraje, W których żywy zmartwychwstaje.

POZA CZASEM

Czemu tylko podwici Żyją bez metryki?...

NIE O TO CHODZI

Chciał jej przychylić nieba. Powiedziała: nie trzeba...

NIEGROŹNE

Nie są groźne anatemy, Gdy je wypowiada niemy.

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

JESTEM WCIĄŻ POPULARNA

Pewnego razu, szukając fotoreportera, trafiłam do redakcji „Panoramy Północy”. Redaktor naczelny oczywiście bardzo chętnie podjął się skontaktowania mnie z fotoreporterem, ale pod warunkiem, że udzielię dla jego gazety wywiadu. Nie byłam chętna, nie ufałam dziennikarzom, broniłam się i wyjaśniałam mu dlaczego. Obiecał mi, że wywiad będzie autentyczny, że z całą pewnością mi nie zaszkodzi. Zgłosiła się do mnie po kilku dniach młoda pani reprezentująca „Panoramę Półno-

cy”. Opowiedziałam jej więc, zgodnie z prawdą, o wszystkich moich ostatnich wyjazdach zagranicznych, o sukcesach na estradach krajowych oraz w NRD i na Węgrzech. W „prezencie gwiazdkowym”, w świątecznym wydaniu „Panoramy Północy” znalazłam artykuł o mnie i oż się z niego dowiedziałam? — „Ze mój styl jest dziś przestarzały, że zmieniła się publiczność: jest dzisiaj bardziej wyrafinowana, wymagająca, że mój głos ma to do siebie, że szybko powsze-

dnienie i wychodzi z mody, że koncertuję wprawdzie — ale w małych miasteczkach przed publicznością, dla której jakikolwiek występ jest wielkim wydarzeniem — i TAM się podobam. Dalej marzę o powrocie na „wielką” estradę, ale czy do tego wystarczy mi jedna, nawet dobra piosenka?” Co ta pani rzecz może o moim stylu, skoro z rozmowy z nią wywnioskowałam, że na muzyce nie zna się absolutnie, nie wie nawet co to jest big beat, a co to jest rock and roll. Zmieni-

ła się publiczność? — bzdura absolutna, może dla innych, bo dla mnie nie, w każdym razie ja nie odczuwam tego. Mój głos szybko powszednie i wychodzi z mody? To dlaczego do 11 lat, właśnie za ten głos — bo przecież nie zmieniał go — jestem wszędzie z jednakową siłą oklaskiwana, tak, jak na początku mojej kariery?

No, co do koncertów w małych miasteczkach, to już zastrzeliła mnie zupełnie. Berlin, Warszawa, Budapeszt, plus masa wielkich miast w kraju i za granicą, w których występowałam w ciągu ostatnich kilku miesięcy i w których odnosłam sukcesy — to dla tej pani małe miasteczka. W tym miejscu wypada się chyba tylko roześmiać.

W małych miasteczkach śpiewam też — zresztą nie jestem

wyjątkiem, w tych samych miasteczkach, w księgach Domów Kultury, znajdują się autografy Ireny Santor, Jacka Fedorowicza, Czerwonych Gitar, Ireny Dziedzic i wielu, wielu innych. Śpiewam w tych miasteczkach teraz, śpiewałam 11 lat temu i śpiewać będę nadal, lubię tych ludzi, którzy po ciężkiej pracy witają nas, artystów, z prawdziwą szczerą radością. Są naturalni i szczerzy, pozbawieni fałszu i obłudy i są obiektywni. To nieprawda, że im podoba się wszystko, oni potrafią dokonać selekcji na dobre i złe.

Dla mnie każda publiczność jest jednakowa, ta z maleńkich miasteczek i ta ze stolic europejskich, każda traktuję jednakowo — i przez każdą ja jestem traktowana jednakowo. A pani z „Panoramy Północy” powinna

wybrać się kiedyś na mój koncert, pewno wtedy zawydyżłaby się — chyba, że nie potrafi? Co do popularności, to nie mam z pewnością takiej jak lat temu dziesięć czy sześć, ale wszędzie, w każdym mieście, gdzie mam koncert, publiczność moje pojawienie się na scenie wita oklaskami, pamięta mnie i czuje — że chce mnie oglądać.

Oprac.
A. KRYSZKIEWICZ

ROZWIĄZANIE TESTU

ze strony 12

1. 2-A (nie), 2. 3-C (tak), 3. 4-D (tak), 4. 1-C (tak), 5. 3-B (tak), 6. 1-C (tak), 7. 2-D (tak), 8. 1-D (nie), 9. 3-B (tak), 10. 3-D (nie).

MODNE ★ PRAKTYCZNE ★ POSZUKIWANE

KURTKI

typu batlee-dress
z puszystej tkaniny futerkowej
w atrakcyjnych kolorach

DAMSKIE i DZIEWCZĘCE

poleca
Dom Handlowy „UNIwersal”
zapraszamy

Uniwersal



Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi Adres redakcji: ul. Piotrkowska 36, kod poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zamawiających rekwizytów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótu Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 2120, C-14, Nr indeksu 37006.